NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.

Nowowiejska [illegible] Telefon Nr. [illegible]

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 16 sierpnia 1913. Nr. 33.

Pogrzeb z przeszkodami.

(Treść na str. 2).



Po krwawej rozprawie bałkańskiej. — Straszne pokłosie wojenne. — Nowy dyrektor Muzeum w Rapperswilu. — Nowa siedziba Resursy rzemieślniczej w Łodzi. — Z sezonu w Krynicy. — Regaty w Warszawie. — Wyścigi o mistrzostwo Galicyi. — Pożegnanie opery i operetki lwowskiej w Krakowie. — Niebezpieczny sport i t. d.

Pogrzeb z przeszkodami.

(Do illustracyi tytułowej).

Śmierć i pogrzeb — to rzeczy zwykłe, jak zwykłem jest życie ludzkie, ale otacza je majestat, przed którym wszystko sie korzy. Kres życia człowieka i ostatni hołd żywych, towarzyszących jego zwłokom do grobu — to wstrząsający przejaw najgłębszej zagadki bytu. To też żaden obrzęd nie otacza taka powaga i takie skupienie ducha, jak odprowadzenie do bram cmentarnych i złożenie w grobie na wieczny spoczynek szczątków człowieka. Niezmiernie rzadkim jest też wypadek, aby poważną chwilę pogrzebu zakłócił jaki przykry rozdźwięk lub wkroczenie władz bezpieczeństwa publicznego. W tych dniach jednakże zdarzył się w Krakowie taki niezwykły fakt i wywołał zrozumiałą sensacyę.

Na Prądniku Czerwonym zmarła nagle w podeszłym wieku właścicielka realności Anna Sobierajowa. Mieszkała ona wraz z synem swoim Janem, z którym żyła w wielkiej niezgodzie. Wezwany lekarz stwierdził śmierć, nie badał jednak przyczyn wobec tego, że sama rodzina podała, iż zmarła chorowała na serce i to było powodem jej zgonu. — Rozpoczęto też bez przeszkody czynić przygotowania do pogrzebu.

Tymczasem sąsiedzi, którzy znali stosunki panujące w rodzinie Sobierajów, zaczęli po cichu opowiadać, że syn, z którym nieboszczka mieszkała, często w czasie sprzeczek wzajemnych bił matkę i że on jest przyczyną jej śmierci. O podejrzeniach zawiadomiono żandarmeryę, która zrobiła doniesienie do prokuratoryi, a śledztwo objął sędzia dr. Błachociński.

Materyał śledczy zebrał się tak obfity, że sędzia wydał rozkaz wstrzymania pogrzebu, celem przeprowadzenia sądowych badań zwłok.

Żandarm zawiadomił o tem Sobierajów, którzy jednak nie usłuchali wezwania i chcieli ciało pogrzebać. Kondukt pogrzebowy ruszył też na cmentarz, ale u wrót jego oczekiwała już żandarmerya, która pogrzeb wstrzymała, a zwłoki zabrała do kliniki na oddział medycyny sądowej.

Przy pierwszych oględzinach zwłok stwierdzono, że na głowie zmarłej widnieje kilka silnych śladów



Po krwawej rozprawie bałkańskiej: Ostatnie posiedzenie konferencyi pokojowej w Bukareszcie.



Nowy dyrektor Muzeum w Rapperswilu: Dyrektor Konstanty Żmigrodzki.





Straszne pokłosie wojenne:

Kobiety greckie opłakują swych mężów i braci po rzezi w Doxato.

Zbiegowie bułgarscy z Tracyi, zajętej ponownie przez Turków, spieszą do Sofii.





Straszne pokłosie wojenne: Zgliszcza w mieście Doxato, spalonem przez Bułgarów.

pobicia. Śledztwo dalej ustaliło, że wyrodny syn bił często matkę, a w ubiegłym roku był nawet sądownie za to karany. To też powstało przypuszczenie, że on był powodem śmierci Sobierajowej.

Illustracya nasza tytułowa przedstawia chwilę, kiedy u bram cmentarza władze wstrzymują kondukt pogrzebowy.

Nowy dyrektor Muzeum w Rapperswilu.

Rapperswil, owa skarbnica pamiątek polskich, otrzymał nowego kierownika. W przecudnej okolicy szwajcarskiej położony zamek stał się muzeum naszych pamiątek narodowych, posiadającem cenne zbiory zarówno muzealne, jak i archiwalne. Od szeregu lat ze wszystkich stron świata Polacy składają ofiary na utrzymanie tej historycznej pamiątki, oraz wzbogacają jej zbiory bezcennymi wprost nieraz darami. Tam gromadzi się różne materyały historyczne do dziejów narodu polskiego, pamiątki po różnych naszych bohaterach pióra i oręża. Słowem Rapperswil stał się dzisiaj podstawą dla tych, którzy o naszej historycznej przeszłości ostatnich dziesiątek lat chcą pisać.

Na czele Muzeum i funduszów przy nich nagromadzonych stoi rada muzealna, złożona z wybitnych przedstawicieli Polonii z różnych dzielnic i stron świata. Muzeum samem zaś zarządza dyrektor przez Radę mianowany.

W ubiegłym roku na stanowisku tem zaszło małe przesilenie, które odbiło się żywem echem w prasie polskiej, a które doprowadziło do zmiany w osobie kierownika.

Zjazd członków Rady muzealnej, który się odbył w ubiegłym tygodniu w Rapperswilu, powołał na stanowisko dyrektora Muzeum p. Konstantego Zmigrodzkiego. Urodzony w r. 1876 w Rydze, po ukończeniu tam nauk, nowy dyrektor studyował rzeźbę w Akademii Sztuk pięknych w Krakowie, poczem po dłuższych podróżach za granicą otworzył pracownię rzeźbiarską w Petersburgu. W r. 1905 osiadł w Witebsku, jako profesor rysunków i geometryi wykreślnej, obejmując równocześnie stanowisko kustosza tamtejszego muzeum.

Nowy dyrektor objął już swe czynności w Muzeum Rapperswilskiem, do których ogół polski przywiązuje jak najlepsze nadzieje.



Straszne pokłosie wojenne: Greccy żołnierze rozstrzeliwują schwytanych bułgarskich „komitadżi“ w jednym z fortów w Epirze.

Po krwawej rozprawie bałkańskiej.

Salwy armatnie, sto jeden strzałów, dźwięk dzwonów, dźwięki uroczystych marszów ogłosiły na Bałkanie zawarcie pokoju między Rumunią, Serbią, Grecyą a Bułgaryą. Po tygodniu rokowań w Bukareszcie pod naciskiem mocarstw europejskich, przyszedł do skutku układ, który ustalił nowe granice państw Bałkańskich.

Bułgarya, która najwięcej krwi przelała, najgorzej na tem wyszła. Od północy zabrała jej Rumunia znaczną część kraju, leżącą między miastami Balczik i Turtukaj. Od południa Grecya posunęła się znacznie na południe, zabierając Saloniki i port Kawalę, przez co Bułgarya straciła jedyny, o wartości strategicznej i handlowej, dostęp do morza. Od zachodu zaś Serbia rozszerzyła znacznie swe granice, zyskując ogromne obszary w Macedonii. Ona jedna powiększyła swoje terytoryum blisko o 100%, gdyż podczas gdy przed wojną bałkańską liczyła obszaru tylko 48.000 km², obecnie ma aż 95.000 km². I to właśnie stanowi właściwe niebezpieczeństwo dla trwałości zawartego pokoju. Bułgarya bowiem tracąc 8 tysięcy klm² na rzecz Rumunii, zyskała tylko 46 tysięcy klm², czyli o wiele mniej niż Serbia. Terytorya, przez Serbów zabrane, są zamieszkałe przeważnie przez ludność bułgarską, wśród której Bułgarzy od dziesiątek lat prowadzili propagandę wolnościową. Jeśli chodzi o rozwój tej ludności, to pod panowaniem serbskiem będzie on jeszcze trudniejszy, niż pod tureckiem, a tem samem niebezpieczeństwo nowych zawikłań serbsko-bułgarskich pozostaje jako groźne memento popokojowe.



Grecka komisya wojskowa objeżdża w automobilu zburzone ulice m. Doxato.



Straszne pokłosie wojenne: Grecy, pomordowani przez Bułgarów w Doxato.

Bułgarya zawarła pokój pod przymusem, ale też zaraz zastrzegła się, że uznając traktat pokojowy, wymagać będzie rewizyi jego przez konferencyę mocarstw europejskich. Zastrzeżenie to poparła Rosya, Austro-Węgry, a po cichu także Anglia. I tu tkwi Turcy zabrali jej znowu Adryanopol i znaczną część Tracyi. Wprawdzie mocarstwa europejskie zagroziły Turcyi wspólną interwencyą w razie, gdyby nie respektowała traktatu pokojowego, zawartego w Londynie, ale... cała afera bałkańska wykazała dowodnie, że ta tak zwana interwencya mocarstw, to słabe pogróżki, które nigdy nie mają poważnych następstw. To też Turcya wcale nie bierze sobie tego do serca. Wojsko tureckie fortyfikuje na gwałt swe pozycye, a z Azyi nadchodzą coraz nowe zmobilizowane pułki.



Straszne pokłosie wojenne: Korespondentka francuska, p. Leune, na pobojowisku pod Kilkiliz.

dalsza zapowiedź, że pokój bałkański, zawarty w Bukareszcie, wcale nie przyniesie upragnionego uspokojenia w kotle bałkańskim, ale że po drugiej wojnie bałkańskiej wnet gotowa przyjść trzecia, równie krwawa, a może jeszcze bardziej zaciekła.

Na razie broń złożono w kozły, Grecya, Serbia, oraz Rumunia demobilizują swe armie. Nie czyni tego Bułgarya, która nie może patrzeć na to, że

Rozprawa orężna Bułgaryi z Turcyą, nie objęta wcale traktatem w Bukareszcie, przyjdzie do skutku w najbliższych tygodniach. Czy zaś skończy się na walce tylko tych dwóch państw, jest rzeczą więcej niż wątpliwą. Poza plecyma tej kampanii stoją, ścierające się ze sobą, wpływy różnych mocarstw europejskich. Konferencya ambasadorów w Londynie, która zajmuje się akcyą mocarstw na Bałkanie, stoi na bardzo kruchych podstawach, a lada przesilenie może rachuby obalić i wtedy nie tylko Bałkan może stanąć w ogniu.

Na razie mamy bodaj prowizoryczny pokój. W dzisiejszym numerze zamieszczamy też bohaterów zapasów dyplomatycznych, stoczonych w obronie tego pokoju.

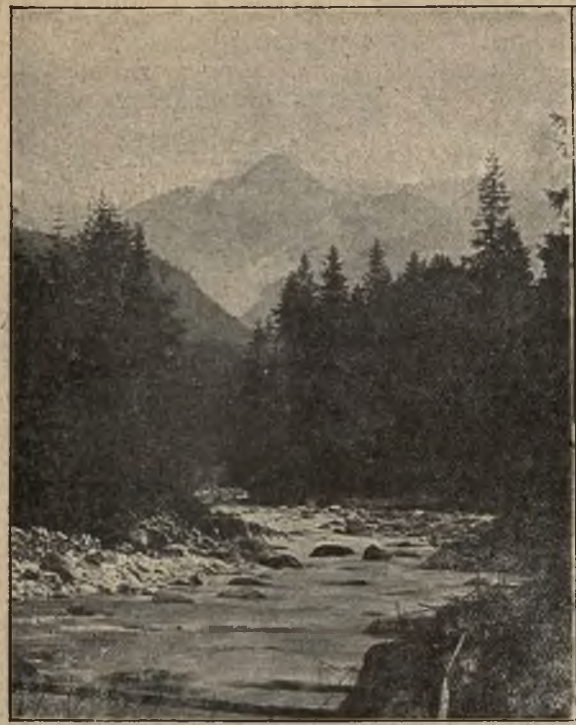
Niebezpieczny sport.

Specyalistom w dzidzinie sportów nie wystarczają już zdobywane rekordy w zwykłych warunkach. Wysilają się oni na coraz nowe pomysły, aby sport zamienić w sztukę nieraz akrobatycznej zręczności i dowód odwagi, gardzącej niebezpieczeństwem. Główną twórczynią tych niezwykłych pomysłów jest matka wszelkich sportów Anglia. Stamtąd, zwłaszcza ze sfer zamożnych wychodzi nieraz inicyatywa do fantastycznych pomysłów w dziedzinie sportów, pomysłów, które są dostępne nieraz dla bardzo szczupłej liczby śmiałków.

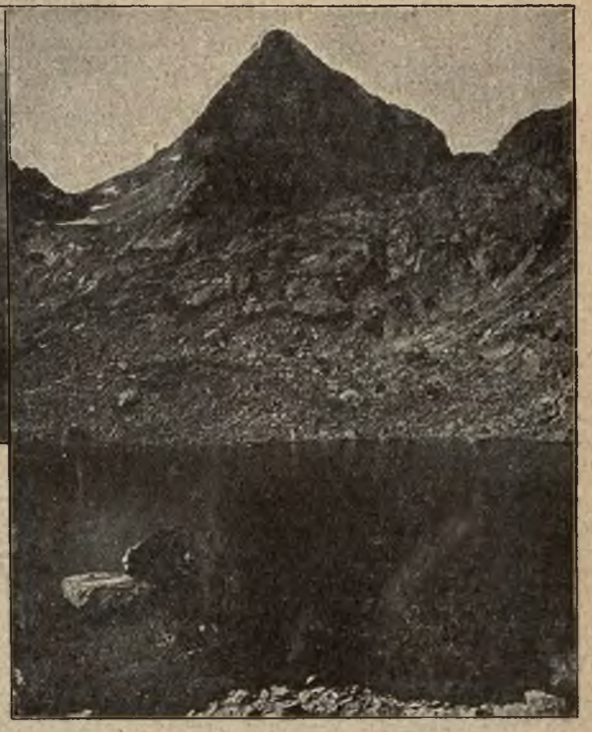
W dziedzinie takiego niebezpiecznego sportu odbyły się niedawno wyścigi na łodziach, urządzone w Anglii w mieście Heybridge. Nie były to jednak zwykłe łodzie, ale po prostu dwie deski zbite ukośnie, na których na kiju umocowany był rodzaj żagla. Na tych deskach siedział okrakiem jadący łodzią i sterował krótkim sterem, z tyłu umieszczonym. Naturalnie lada chwila groziło temu wątłemu stateczkowi wywrócenie. Mimo to znalazło się dosyć amatorów tego niebezpiecznego sportu.



Niebezpieczny sport: Wyścigi na łodziach żaglowych w Heybridge w Anglii.







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

25

– Pani Wanda, nienawykła do sprzeciwiania się jej woli, zniecierpliwiła się i powiedziała niemal surowo:

– Dość tych ceregieli, zamieszka pani u mnie dzień czy dwa i koniec, – i przechodzącemu lokajowi rozkazała: – Kuferki i kufer tej pani proszę przynieść do mego pokoju... zaraz!

– Natychmiast, jaśnie pani.

Wieczorem nowoprzybyłą poddano, jak zwykle, szczegółowym oględzinom, ale skromna granatowa jej sukienka z białym kołnierzem, spiętym czerwoną kokardką, nie raziła nikogo, a jej nieśmiałe, zakłopotane ruchy i miny rozbroiły sędziów. Pani Wanda zajęła się nią bardzo troskliwie, zachęcała do jedzenia, przysuwała ciastka i paterę z owocami, w czem jej chętnie pomagał pan Borowiecki, i ich troje stanowiło oddzielne kółko w zwykłem towarzystwie. To wyłączne zajęcie się sobą nie podobało się innym i po pewnym czasie spytała Dorci pani Porecka:

– Na długo przyjechała pani?

To obcesowe pytanie nie podobało się pani Wandzie i powiedziała z uśmiechem:

– Dopiero przed chwilą przyjechała panna Rawicka i już pyta pani o wyjazd?

– Jest to pytanie przyjęte we wszystkich zakładach leczniczych, – wyprostowała się z godnością pani Porecka – a panna Rawicka wygląda tak świeżo, że kuracya nie powinna trwać długo.

– Istotnie, nie wiem, – odpowiedziała Dorcia nieśmiało, – to zależy od mamusi i od porady pana doktora.

– A co pani brakuje? – spytała surowo, jak zwykle, pani Łącka.

– Ja?... Mnie?... – poczerwieniała cała, – podobno osłabienie.

– Pani osłabiona? – zaśmiała się pani Porecka, – taka młoda, tak dobrze pani wygląda.

– Panna Rawicka jest zmęczona, – wmieszała się pani Wanda, – cierpi na bole głowy i zawroty... zresztą badanie jej zdrowia należy do pana doktora.

– Który numer pokoju dostała pani? – spytała Madzia uprzejmie.

– Zastałam wszystkie zajęte, a pani Jerzycka była tak dobra, że ofiarowała mi gościnę.

Wszyscy spojrzeli na panią Wandę trochę zdziwieni, pamiętano bowiem, że mąż musiał spać w innym pokoju.

– Pani cieszy się nadzwyczajnymi względami pani Jerzyckiej, – uśmiechnął się pan Jedliński, – bo podobno nerwy pani Jerzyckiej nie znoszą towarzystwa.

Pani Wanda zarumieniła się, ale milczała, nie chcąc rozwlekać tej sprawy, natomiast pan Borowiecki odpowiedział:

– Pani Jerzycka czuje się zapewne zdrowszą i panna Rawicka jest pod jej opieką.

– Istotnie, Wandziu, – odezwała się pani Łącka, – zauważyłam od pewnego czasu twoje znaczne polepszenie. Przypisuję to górskiemu powietrzu i hygienicznemu życiu.

– No i towarzystwu przyjemnemu, – chciała być złośliwą Madzia.

– Tak jest, skinęła głową pani Wanda, – towarzystwo pani jest tak dobrze dostrojone harmonijnie i przyjaźnie, że każdy czuje się swobodnym i niezależnym.

Dorcia uważała za stosowne wziąć także udział w rozmowie i odezwała się:

– To bardzo miło znaleźć się w atmosferze życzliwej i przyjacielskiej, – i zarumieniła się, wzruszona swą odwagą.

– Tak, tak, proszę pani, – powiedział z powagą pan Maniecki, – wszyscy w tym rogu stołu, z wyjątkiem mnie jednego, żyjemy w klasycznej harmonii, wszyscy się kochamy, uwielbiamy, chwalimy, żyjemy, jak stadko aniołów stróżów jedni dla drugich. Czy to nie jest pięknie?

– No, tak... zapewne, – bąknęła.

– Niech pani nie wierzy panu Manieckiemu, – zawołała pani Mniewska, – on zawsze szydzi.

– Niechże mnie pani nie obgaduje, – oburzył się pozornie pan Maniecki, – czy my podpatrujemy, podsłuchujemy, krytykujemy jedni drugich? A że ten temu stąpi na nagniotek, jeden drugiego szarpnie, ukłuje, zadraśnie, to tylko z przyjaźni i dla zachowania równowagi moralnej.

Wszyscy się uśmiechali, a pan Jedliński rzekł z lekką ironią:

– Nie jesteśmy w szkole i nie mamy obowiązku słuchania profesora. Tu panuje wolność i każdy żyje i rozwija swą indywidualność tak, jak mu się podoba.

– Tak jest!... Bardzo słusznie! – pospieszyły z uznaniem pani Mniewska i panna Porecka.

– No, tak, tylko, że tak łatwo rezygnuje się z indywidualności za jedno spojrzenie... uśmiech... uścisk ręki pożądanej.

– Pan już zapomniał, – śmiał się pan Jedliński, – ale w tym wypadku indywidualność się podwaja.

Po kolacyi, pani Wanda, pod pozorem, że Dorcia jąst zmęczona, odeszła z nią do swego pokoju w towarzystwie pana Borowieckiego.

– Ta mała Rawicka będzie im przeszkadzała, – zauważyła pani Mniewska.

– „Dames de compagnie" są czasem bardzo wygodne, – uśmiechnęła się pani Porecka.

– Obie są swojskiego chowu i łatwo się porozumią, – zaśmiał się pan Jedliński; – zabawną rolę w tym kojcu będzie miał pan Borowiecki.

– Zazdrość przemawia przez pana, – uśmiechnęła się pani Mniewska.

– Wcale nie. Nie przeczę, że zwiodły mnie pozory pewnego szyku i blichtru umysłowego, ale wytrzeźwiałem.

– Jednak przyznaje pan, że ona ma szyk, – dorzuciła Madzia.

– Tyle, ażeby podobać się zaściankowej szlachcie, – uśmiechnął się ironicznie; – ręczę, że dla nadania sobie tonu wśród szlagonów udawała chorą, zdenerwowaną, niby to jakieś cierpienia serca...

– Nie, panie Jedliński, pan się myli, – zarumieniła się Ryta, – pani Jerzycka była chora.

– Na kaprysy, na ambicyę, na urojoną chorobę serca, – mówił porywczo, – przecież jest zupełnie zdrowa, dziś tak skwapliwie usługiwała tej małej, codziennie godzinami spaceruje, flirtując z powodzeniem ze swym towarzyszem, a chyba pani nie powie, że właśnie ten flirt ją uleczył.

– Nie przypuszczałam, że pan jesteś, – chciała Ryta powiedzieć: mściwy, ale dokończyła: – tak złośliwy.

– To nie złośliwość, ale fakt. Obserwowałem dokładnie tę panią, jej stosunek do męża, do pań, do mężczyzn; wszędzie egoizm i pragnienie zabawy kosztem cudzym.

Ryta umilkła, Jedliński dotknął bolesnej struny: i ona miała głęboki żal do pani Wandy, że bałamuci Borowieckiego dla swej chwilowej zabawy.

– O, niebezpiecznie z panem zadzierać, – uśmiechnęła się przyjaźnie pani Porecka.

– Nie, proszę pani, mam tylko tę wadę, że jestem prawdomówny i nienawidzę fałszu.

Żadna z pań nie stanęła w obronie pani Wandy, nawet kuzynka, pani Łącka, która miała żal do niej o pana Borowieckiego. I pani Wanda została potępiona. Kobiety bowiem bardzo rzadko, prawie nigdy, nie zgodzą się na sąd niewieści, ale bez opozycyi przyjmą sąd męski o kobiecie, jak gdyby z góry były przekonane, że sąd ten opiera się na faktach prawdziwych i zbadanych.

Właśnie ze swej ustronnej kozetki wyszła para, pani Łotuska z Szarockim i skierowali się ku wyjściu.

– A co pan, jako prawdomowny, – zaśmiała się pani Mniewska, – powie o pani Łotuskiej?

– To kobieta prawdziwa i szczera. Nie udaje, że męża kocha, że tęskni za nim, pragnie użyć życia, póki młodość starczy.

– O, pan zanadto wyrozumiały, – zauważyła pani Porecka.

– A przypomina sobie pani, co powiedziała ona o szczęściu? Nie mówiła o jakiejś zgodzie ducha, czynu, – drwił z pani Wandy, – ale wprost: chcę swobody i pieniędzy. To było szczere, naturalne, ona jest sobą i nie udaje uczuć.

– Tak, to prawda, – uśmiechnęła się pani Łącka, – może zanadto nie udaje, ale to jej rzecz.

– Otóż w tem jest prawda. Ona jest sobą i powiada: chcecie mnie taką, jak widzicie, to dobrze, a nie, to nie, ani myślę stroić się w cudze piórka. I czy może kto z nas ją potępić?

Starsze panie milczały ze względu na panny, a pannom nie wypadało zabierać głosu w tak drażliwej sprawie, tylko pani Mniewska powiedziała wesoło:

– Ja jej nie potępiam, ale za to mąż!?

– Sam sobie winien, – zdecydował pan Jedliński, – przecież taki stary i brzydki nie mógł liczyć na jej miłość, a ponieważ u nas haremów nie ma, musi znieść wszystkie następstwa.

– Panu łatwo to mówić, – odezwała się Madzia, – ale nie chciałabym być na jej miejscu, on podobno bardzo zazdrosny.

– To dziwne, że on nie przyjeżdża, – zauważyła Ryta.

– Mówiła mi pani Łotuska, – objaśniała pani Porecka, – że zimę i wiosnę spędził gdzieś na Sycylii, a teraz zatrzymały go interesa.

Do salonu wszedł doktor zakładowy i zbliżył się do siedzącego towarzystwa. Po kilku ogólnikach o pogodzie, zjeździe gości, zwrócił się do Ryty:

– Wspominała pani kiedyś, że pragnęłaby pani zobaczyć Marsa. Dziś można tę planetę

doskonale obserwować, przygotowałem dla pani szkła, czy zechce pani obaczyć?

— Bardzo chętnie, — wstała i wraz z doktorem skierowali się ku wyjściu.

— Mars jest tylko pozorem, — mówił doktor poważnie, — chciałem zawiadomić panią, że otrzymałem depeszę.

— Depesza! Do mnie? Do nas? — spytała zaniepokojona.

— Tak jest. Nic przerażającego, niech się pani nie boi.

— Kto telegrafuje?

— Doktor.

— Ojciec chory? — Śmiertelnie? — stanęła przerażona.

— Nie! Złamał rękę, spadając z konia i pragnąłby powrotu pań.

— Czy napewno tylko ręka? — niedowierzała.

— Chodźmy bliżej światła, przeczyta pani depeszę.

Z drżeniem i obawą wzięła papier fatalny do ręki, nie mogła się bowiem opędzić myśli, że doktor chciał ją przygotować do większego ciosu, mówiąc od siebie tylko o złamaniu ręki. Rozwinęła papier i powstrzymując drżenie ręki, odczytała:

„Łącki, padając z płochliwego konia, złamał prawą rękę, żąda przyjazdu żony i córki. Doktor Buszczyński".

Odetchnęła; zdawało się jej, że uniknęła większego nieszczęścia, wobec którego złamanie ręki było przykrością do zniesienia. Oddała depeszę, mówiąc:

— A co teraz?

— Trzeba panią Łącką przygotować na otrzymanie fatalnej wiadomości.

— To wiem, ale jak?

— Chciałem dzisiaj ją uwiadomić, ale ponieważ i tak dzisiaj nie możecie panie jechać, będzie lepiej, gdy tę noc przepędzi spokojnie.

— I ja tak myślę.

— Jutro rano wyjdzie pani z pokoju wcześniej, a wróciwszy, powie pani, że otrzymałem od znajomego list, w którym mi donosi, że jakiś pan Łącki złamał rękę. Spytałem o tego pana Łąckiego panią, a pani poleciła mi wysłanie depeszy... W kilka godzin później przedłożę pani Łąckiej depeszę dzisiaj otrzymaną. Czy zgadza się pani?

— Zdaje mi się, że tak będzie najlepiej... Dziękuję panu doktorowi.

— Niech tylko pani nie da poznać po sobie, a dla upozorowania chodźmy zobaczyć Marsa.

Podeszli do otwartego balkonu, a doktor podając lunetę, wskazał jasno świecącą, czerwoną gwiazdę.

— To jest planeta Mars, posiada prawie taką atmosferę, jak ziemia, tylko, że ona na Marsie jest bardziej przezroczysta i rzadka.

Ryta przez grzeczność słuchała, ale Mars wcale jej nie zajmował, co spostrzegł doktor i umilkł, zaś Ryta popatrzywszy czas jakiś przez lunetę, odłożyła ją, mówiąc bardzo uprzejmie:

— Dziękuję panu doktorowi, Mars jest istotnie piękny.

Szła w stronę salonu smutna i przygnębiona. W mózgu jej uwięzła jedna myśl: jadę... muszę jechać... odjeżdżam!

Nie zdawała sobie sprawy, dlaczego wyjazd sprawia jej tak wielką przykrość, ale czuła, że pogrąża się w jakąś nieznaną ciemność, a rzuca światłość i spokój. Mamie było tu dobrze, a teraz stan jej może się pogorszyć, myślała nad tem, ale półświadomie zdawała sobie sprawę, że obawa o matkę nie jest przyczyną jej przygnębienia i żalu. Tu było zacisznie, zdala od kłopotów codziennego życia, od stykania się z gospodarstwem, klucznicą, kucharzem, służbą i od tej jednostajności wiejskiej, przerywanej wyjazdem do kościoła i na obowiązkowe i nudne wizyty, lub przyjmowanie gości obojętnych. Gdy przed oczyma przesunął się jej błyskawicznie obraz życia na zapadłej wsi, doznała pewnej lekkiej ulgi, że ma za czem żałować, wyjeżdżając z Zakopanego.

Jaka jednak egoistka ze mnie, myślała, przecież matka i ojciec tyle lat tak żyją, a tylko mnie trzeba wygód, dogadzania swemu lenistwu, tylko ja chcę uciec od zwykłych, codziennych obowiązków.

Lecz czy istotnie tak mi żal warunków tego życia tutaj? I znów poczuła, że ludzi sama siebie.

Nagle, niewiadomo skąd i jak, stanął przed oczyma jej duszy Borowiecki. Ogarnęła ją gorąca fala wspomnień o nim, a sny i marzenia obsiadły ją rojem. Nie było w tym jednostronnym romansie nic złego, nic zdrożnego, a jednak cała oblała się purpurą.

Teraz dopiero zrozumiała, że jej przygnębienie i żal, to następstwa rozłączenia się z nim, może na zawsze. Dotychczas bowiem, gdzieś w głębi najtajniejszej tliła iskra nadziei, że przyjedzie mąż Wandy, że zabierze ją i że Borowiecki zostanie sam i zwróci się do niej, gdyż z całego towarzystwa wyróżniał tylko Wandę i ją. Wanda może ma więcej wdzięku, wykwintniejsza w ubiorze, może ma umysł subtelniejszy, bardziej wyrobiony, ale ona kochać nie potrafi, tak łatwo zapomniała o mężu, tak mało ma poczucia obowiązków. że ledwie, nieledwie wspomni o dziecku, o domu swym. Dobrze, że ona jest zamężna, bo on byłby z nią nieszczęśliwy. On taki szlachetny, mądry, taki uzdolniony, taki szczery i dobry, a połączyłby się z kobietą kapryśną, zmienną, lubiącą się podobać i rozrzutną, wspominała na jej batystową bieliznę, na buciki, pantofelki, stroje rozmaite, kapelusze, koronki, pióra...

Jadę i nie zobaczę go już nigdy!... nigdy! Uczuła ból niemal fizyczny i ogarnął ją głęboki żal, że to jej pierwsze w życiu uczucie zostanie pogrzebane na zawsze!

Dopiero widok matki i towarzystwa otrzeźwił ją. W tej samej chwili ujrzała ojca cierpiącego, i widziała twarz jego zmęczoną, zbolałą i jego oczy poczciwe szukały kogoś, ażeby przemówił ten ktoś jedno dobre słowo. Poczuła łzy w oczach, automatycznie zbliżyła się, usiadła, nie patrząc na nikogo.

— Cóż, widziała pani Marsa? — spytała pani Mniewska, — czytałam powieść o ludziach z tej planety, bardzo ciekawa. W jednej chwili zdobyli Anglię, a żywili się krwią ludzką.

— A ja czytałam inną, — odezwała się Madzia, — były to przygody człowieka ziemskiego na Marsie.

— Wszystko to są fantazye bez żadnych realnych podstaw, — rzekł pan Jedliński, — najmniejsza odległość Marsa od ziemi wynosi pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów, a średnia odległość siedmdziesiąt ośm milionów, a w takiej odległości można zaledwie rozróżnić jaśniejsze i ciemniejsze plamy i domyślać się, że są to morza, góry, lądy, ale nic więcej.

— Ja zaś wolę wierzyć, — powiedziała pani Łącka, że na gwiazdach żyją ludzie, doskonalsi od nas i po śmierci tutaj, przechodzimy na gwiazdy. Tam odnajdziemy naszych ukochanych.

— Wierzyć można we wszystko, nawet w miłość bezinteresowną, — zaśmiał się pan Jedliński.

— Zaraz poznać, że pan mężczyzna, — rzekła surowo pani Łącka, — my, kobiety, kochamy bezinteresownie. Weźmy miłość do dziecka, jaki w tem interes?

— Kocha się siebie w dziecku, i o ile to dziecko nie jest moim obrazem, nie kocham go.

— Pan nie rozumie miłości, — sposępniała pani Łącka i umilkła.

W tej chwili zbliżył się pan Borowiecki i usiadł na krześle obok Ryty.

— Kobieta kochając, — powiedziała pani Porecka z niezwykłą godnością, — pragnie tylko szczęścia ukochanej osoby, zawsze gotowa do poświęceń osobistych. Tak mnie wychowano, tak wychowałam córkę.

— A tak, tak, — śmiał się pan Jedliński, — już Fredro powiedział, że żona zawsze się poświęca, nieproszona i niedziękowana.

— Koncepty pana, czy Fredry, w niczem nie zmienią istoty rzeczy, — powiedziała Porecka z wielką słodyczą, — i zawsze kobieta kocha szlachetniej od mężczyzny, co przyzna każdy bezstronny.

— A pan, co sądzi, — zwróciła się Ryta do pana Borowieckiego, — kto kocha szczerzej, głębiej i bezinteresowniej, kobieta, czy mężczyzna? — zarumieniła się, wydało się jej bowiem po wymówieniu tego pytania, że zdradziła niem swą tajemnicę.

— Zdaje mi się, że podział miłości na gatunek żeński i męski nie wytrzymuje krytyki, — odpowiedział spokojnie.

— O, przepraszam! — zawołała pani Porecka, — kobieta, jako wrażliwsza i subtelniejsza, kocha inaczej.

— To pytanie, — zaśmiał się Borowiecki, — czy Marysia dojąca krowy odczuwa subtelniej i jest wrażliwsza, aniżeli ja, lub pan Jedliński. albo pan Szarocki.

— Ja mówię o kobietach naszej sfery, — poczerwieniała z gniewu, — nie o Maryśkach.

— Ach, tak!? Więc kupcy kochają inaczej, szlachta inaczej, urzędnicy znów inaczej i naturalnie tak samo ich żony i córki. Miłość jest jedna i jedyna, jak jedna ziemia, jedna prawda, jedna cnota. W miłości, — mówił podniecony, — niema: tyś gorszy, ja lepsza; tyś niższy jam wyższa, wszystko zaczyna się i kończy słowami: kocham cię! jest to zaprzepaszczenie swej indywidualności aż do unicestwienia. I taka miłość, mojem zdaniem, jest coś warta, a inne są tylko handlem od wypadku do wypadku.

— To są fantazye, jak o ludziach z Marsa, — zaśmiała się drwiąco pani Porecka, — a pan, czy kochał tak kiedy? Ja przyznaję się szczerze, nie kochałam w ten sposób, a jednak mam to przekonanie, że umiem kochać szczerze.

— A ja, odezwała się nagle Ryta, — rozumiem tylko taką miłość, jak ta, o której pan Borowiecki mówił.

— Bo pani młoda i niedoświadczona, — uśmiechnęła się pobłażliwie pani Porecka.

Ciąg dalszy nastąpi.



— Bo pani młoda i niedoświadczona, — uśmiechnęła się pobłażliwie pani Porecka.

Nowa siedziba resursy rzemieślniczej w Łodzi.

Akcya na polu podniesienia stanu rzemieślniczego w Król. Pol. zakreśla coraz szersze kręgi. We wszystkich większych miastach Królestwa powstały stowarzyszenia samopomocy, które organizując stan rękodzielniczy i rzemieślniczy, stwarzają w ten sposób podwalinę pod zdrowo rozwinięte mieszczaństwo polskie. W r. 1911 powstała także



Nowa siedziba Resursy rzemieślniczej w Łodzi: Antoni Piotrowski, założyciel i sekretarz Resursy.



Nowa siedziba Resursy rzemieślniczej w Łodzi: Pierwszy zarząd Resursy.

w Łodzi resursa rzemieślnicza dzięki inicyatywie szeregu ludzi dobrej woli. Resursa ta w krótkim czasie rozwinęła się doskonale, obejmując w swą organizacyę zarówno rzemieślników łódzkich, jak i z całej okolicy. Młoda instytucya zabrała się energicznie do pracy. Pierwszym przejawem na zewnątrz gorącej inicyatywy było ofiarowanie dla kościoła św. Stanisława Kostki w Łodzi dzwonu „Zygmunta", ważącego około 20 tysięcy funtów.

Drugim rozgłośnym czynem, który obudził szerokie zainteresowanie w sferach rzemieślniczych, było zorganizowanie w Łodzi wystawy przemysłowo-rzemieślniczej w r. 1912. Wystawa ta udała się doskonale, była obesłana przez liczne przedsiębiorstwa z całego kraju i poruszyła wiele czynników do energicznej pracy.

Resursa jednak, nie ustając w pracy, postawiła sobie jako najważniejsze zadanie, aby znaleźć się pod własnym dachem, stworzyć dom rzemieślniczy, gdzieby swobodnie mogły krzewić się idee, jakim stowarzyszenie hołduje.

Już w r. 1912 zebrano tyle funduszów, że zakupiono przy ul. Widzewskiej odpowiedni grunt. Przed kilku zaś dniami odbyła się uroczystość po-



Nowa siedziba Resursy rzemieślniczej w Łodzi: Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budową własnego gmachu. Fot. A. Piotrowski, Łódź.



Straszne pokłosie wojenne: Kobiety i dzieci kryją się przed zwycięzcami w grocie, obserwując toczącą się w pobliżu walkę.



Nowa siedziba Resursy rzemieślniczej w Łodzi: Adolf Krowicki, główny inicyator i założyciel Resursy.

łożenia kamienia węgielnego pod własną siedzibę. Wielka zasługa w dojściu do skutku tego dzieła przypada obecnemu zarządowi Resursy. Przewodniczy jej p. Henryk Schüssler, do zarządu zaś należą pp. Maryan Bawarski, Michał Kapuściński, Antoni Piotrowski, Antoni Laskowski, Aleksander Olech, Wiktor Czajewski, Piotr Borkowski, Wacław Jaguś, Józef Zabrocki, Franciszek Wileński i Józef Włodarski.

Aktu poświęcenia dopełnił proboszcz parafii N. M. Panny w Łodzi, ks. kanonik Antoni Gniazdowski, w obecności licznie zebranych rzemieślników i przedstawicieli wszystkich warstw społecznych.

Plany budowy wykonał inżynier August Furuhjelm, roboty zaś prowadzi majster murarski Aleks. Arndt, oraz komitet z ramienia stowarzyszenia, w skład którego wchodzą pp. Fryderyk Stark, Kazimierz Majsling, Karol Michalski, Konstanty Jesse, Michał Krentz, Antoni Paszczyński, Feliks Drozdowski, Teodor Szybiłło i Józef Jankiewicz.

W czasie poświęcenia wygłoszono szereg pięknych przemówień, a między innemi serdecznie przemówił ks. Gniazdowski.

Budowa własnego domu stanowi dla resursy nowy okres rozwoju tej instytucyi, która z chwilą posiadania własnej sali i ubikacyi na pomieszczenie biur, biblioteki i t. p. może rozwinąć jeszcze pożyteczniejszą działalność.



Z sezonu w Krynicy: Na werandzie cukierni zdrojowej artyści teatru: Fritsche, Feldman, Barwiński, Bończa, Nowacki, Berski, Chmieliński.

Z sezonu w Krynicy.

Krynica, słusznie zwana „letnim salonem“ Polski — pomimo, że we wszystkich niemal zdrojach sezon tegoroczny nie dopisał — gwarna i rojna, jak za „dobrych czasów,“ zgromadziła na wypoczynek wakacyjny najwykwintniejszą publiczność polską ze wszystkich dzielnic. Krynica, oprócz swych walorów leczniczych i bogactwa źródeł mineralnych, daje kuracyuszom mnóstwo rozrywek i przyjemności wielkomiejskich, jak teatr lwowski, który tu od szeregu lat zjeżdża na lato, najlepsze koncerty, zajmujące odczyty. Życie w niej tętni więc całą pełnią, a kto raz przybył na lato do zdrojowiska, odwiedza je potem każdego roku. Ten urok i magiczny czar Krynicy





Z sezonu w Krynicy:

Dwaj kuracyusze-jubilaci: Radca dworu Struszkiewicz z Wiednia i konsul Świerczewski ze Lwowa.

Na werandzie cukierni zdrojowej: Poeta Pietrzycki, p. Michnowska, artystka sceny lwowskiej i Artur Opman (Or-ot).

leży i w jej cudnem położeniu, jakiego mogą jej pozazdrościć zagraniczne zdrojowiska. To też na liście kuracyuszów znajdujemy tu „jubilatów“, którzy do Krynicy przybywają od szeregu lat i przyrzekają, że i nadal przyjeżdżać do niej będą. W zdrojowisku, jak wiadomo, przeważają ilością piękne panie, a deptak krynicki w czasie codziennych koncertów wybornej kapeli zdrojowej, pozostającej od 38 lat pod batudą znakomitego kompozytora Adama Wrońskiego, jest prawdziwą, ruchomą wystawą wspaniałych strojów i piękności kobiecych. Z inicyatywy bawiącego tu na kuracyi znanego poety Artura Opmana (Or-ta) odbyła się w Domu zdrojowym konferencya, na której uchwalono urządzać co roku w Krynicy zjazdy wybitnych przedstawicieli sztuki, prasy i polityki ze wszystkich dzielnic Polski, celem wspólnego zapoznania się i zrzeszenia narodowego.

Inicyatora projektowanych zjazdów uczczono w dniu 3 sierpnia zebraniem w salonach „Klubu towarzyskiego“, gdzie żegnano pieśniarza warszawskiego, który po kilkotygodniowym pobycie u wód opuszcza Krynicę, wracając do Warszawy. Biesiadny stół zgromadził miejscowych lekarzy, przedstawicieli świata artystycznego i literackiego. Wznoszono gorące toasty na cześć serdecznego poety, który przyrzekł, że w przyszłym roku również Krynicę odwiedzi. Artur Opman żegnał swych przyjaciół improwizowanymi wierszami, w których iskrzyły się przebłyski wielkiej poezyi...




Straszne pokłosie wojenne: Zabity Bułgar na polu walki pod Liwonową. Pomordowane kobiety i dzieci w jednym z domów w Serres.

Straszne pokłosie wojenne.

W Bukareszcie przed kilku dniami pokój został podpisany. Państwa bałkańskie podały sobie dłonie do zgody, z za pleców której ciągle jeszcze wyglądają bagnety. Pogodzono się pozornie, gdyż przy podpisywaniu traktatu pokojowego każdy z uczestników konferencyi robił zastrzeżenia na swoją rękę. Chwilowo nastał jednak na Bałkanie spokój. Jedynie tylko Turcya stoi jeszcze w polu, a wojska jej przysięgają, że za żadną cenę nie oddadzą Adryanopola, który przed kilku tygodniami zajęły.

Ta druga wojna bałkańska, która teraz się ukończyła, była może jeszcze straszniejsza, jak pierwsza, którą Związek bałkanski prowadził z Turkami. Wprawdzie i tam mordowano się z zaciekłością, i tam palono wsie i miasta, rabując i gwałcąc kobiety, ale straszne te czyny miały przynajmniej uzasadnienie w wiekowej nienawiści, jaka rozdzielała walczące narody. Dotychczasowi niewolnicy zrywali pęta niewoli, mszcząc wiekowe swe krzywdy. To też dokonywali krwawego odwetu.

Obecnie jednak stanęły do walki narody bratnie, związane z sobą historyą, tradycyą i wspólnotą niewoli. Jak wilcy drą się o zdobycz, tak teraz pożarły się ludy bałkańskie o obszary zdobyte. Krwawą ręką, która teraz w tej drugiej wojnie mordowała, kierowało nie poczucie krzywd narodowych, ale chciwość zdobywców. To też rabunki i pożogi były teraz straszniejsze i bardziej okrutne. Bułgarzy, ustępując przed naciskającymi ich Grekami i Serbami, niszczyli i palili wszystko za sobą. Tak spłonęło miasto Seres, a straszna krwawa jego tragedya wzburzyła nawet opinię Europy i aż konsulowie obcych mocarstw jeździli na miejsce badać rozmiary krwawych odwetów.

Cały Epir stał się widownią strasznych scen. Okrucieństwa z wyrafinowaniem i rozszalałą żądzą krwi popełniali zarówno Bułgarzy, jak i Serbowie i Grecy. Nieszczęsne kraje, spustoszone dopiero co przebytą wojną turecką, po raz drugi były do reszty zniszczone przez kłócących się sprzymierzeńców.

Lata całe upłyną, zanim Bałkan będzie się mógł podźwignąć ze strasznych przejść ostatnich miesięcy.



Straszne pokłosie wojenne: Zburzone domy w Serres.



Z sezonu w Krynicy: Uczestnicy zebrania pożegnalnego na cześć Or-Ota. Górny szereg od lewej ku prawej: Dr. Pruszyński, Józef Chmieliński, Ludwik Stasiak, Jan Pietrzycki, dr. Wąsowicz. Siedzą pp.: Świerczewski, Or-Ot (Artur Opman), dr. Biesiadzki. U dołu: Orłowski-Krogulec i artysta sceny lwowskiej Dobrzański.

Są całe przestrzenie kraju, na ktoych niema ani jednego całego domu. Mieszkańcy pouciekali w góry lub kryją się po lasach i niedostępnych wąwozach i grotach. Tysiące żołnierzy legło na polach walki z bronią w ręku. Drugie tyle zmarło wskutek chorób i ran. Prawie jednak równą, a może i większą jest liczba pomordowanych i zbezczeszczonych kobiet i dzieci. Wojna bałkańska, która zamieniła się w straszną, krwawą rzeź i pożogę, pogwałciła wszystkie prawa międzynarodowe i była hańbą współczesnej cywilizacyi.

W dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi z tego smutnego pokłosia wojennego.

Po dwudziestu pięciu latach.

Dnia 28-go lipca b. r. odbyła się w Tarnopolu piękna uroczystość — zjazd koleżeński abituryentów, którzy w roku 1888 złożyli egzamiu dojrzałości w tamtejszem gimnazyum. Zjechało się 32 b. uczniów, którzy udali się do gmachu gimnazyalnego, gdzie do nich w ciepłych słowach przemówił radca dr M. Maciszewski.

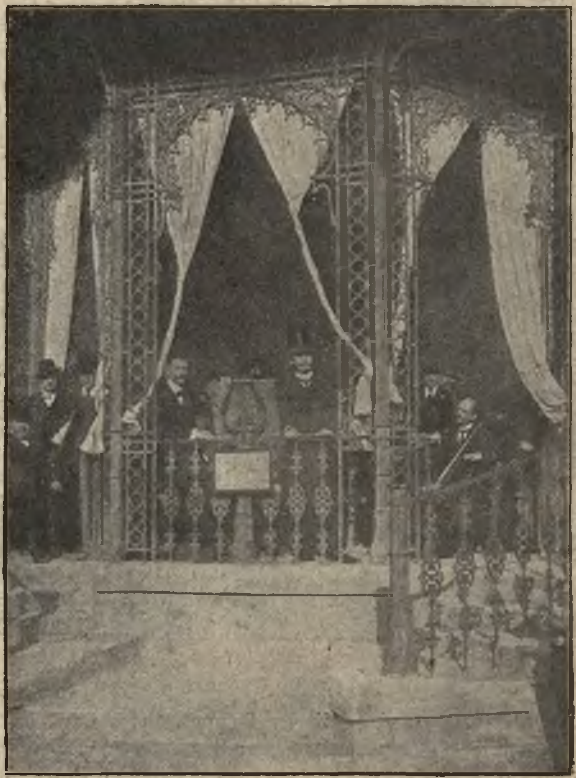
Zebranych kolegów powitał Antoni hr. Koziebrodzki, poczem uczestnicy udali się do cerkwi parafialnej na nabożeństwo, które odprawił ks. biskup Chomyszyn, b. uczeń tarnopolskiego gimnazyum, i do kościoła OO. Dominikanów, gdzie msze św. odprawili koledzy ks. Bładowski, Lazarewicz i Seretny.

Po bankiecie w hotelu Puntscherta nastąpiła wspólna fotografia i zebranie towarzyskie.

Pomiędzy innymi przemawiał w podniosłych słowach ks. biskup Chomyszyn, który na swoim wysokim stanowisku pozostał tym samym dobrym kolegą, jakim był w gimnazyum, czem sobie zjednał serca wszystkich kolegów.

Nastrój na zebraniu był nadzwyczaj serdeczny, i jeszcze raz stwierdził, iż węzły, na ławie szkolnej zadzierzgnięte, jednoczą kolegów na całe życie i są zawsze miłe i drogie.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników zjazdu z ks. biskupem Chomyszynem w pośrodku.



Z sezonu w Krynicy: Adam Wroński w pawilonie orkiestry zdrojowej.



Po dwudziestu pięciu latach: Uczestnicy zjazdu koleżeńskiego w Tarnopolu z ks. biskupem Chomyszynem w pośrodku.

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

6

— Prawo ustanowiło barona Alfreda opiekunem. Pani sama tego wówczas gorąco pragnęła. Wprawdzie może pani teraz podnieść przeciw temu protest i prowadzić rozprawę, ale tak prędko, jakby pani sobie tego życzyła, rzecz ta nie pójdzie. Na razie dziecko należy pod władzę opieki. Pani może w myśl testamentu pozostać w zamku z racyi dziecka, zmieniając jednak mieszkanie, nie ma pani prawa zabierać go ze sobą.

Po takiem wyjaśnieniu dojrzało moje postanowienie, aby Rudolfa siłą lub podstępem uprowadzić. Przez szereg miesięcy usiłowania moje były bezskuteczne. Wreszcie udało mi się, dzięki znacznej sumie, przekupić dwóch służących, przy których pomocy Anna z dzieckiem uciekła ze zamku. Na okręcie ujrzałam dziecko po raz pierwszy.

Wszystko inne wiecie, moi panowie. Chcę na nowo rozpocząć walkę, a teraz z chęcią, czy bez, muszę na razie poddać się prawu. Wiem, że na razie nikt mi nie może pomódź, nie, nawet i pan nie, doktorze Ammarell. Pan jest Szwajcarem, w waszym swobodnym kraju wiele rzeczy dzieje się inaczej. Przyjmijcie panowie moje serdeczne podziękowanie za wasze trudy i zapomnijcie o przykrej przygodzie na pokładzie „Królowej Ludwiki“.

Z ciężkiem sercem opuścił dr. Burger i jego przyjaciel biedną kobietę.

* * *

Piękne popołudnie październikowego dnia roztaczało dokoła przepych wiosny, połączony z orzeźwiającem tchnieniem chłodu, z dobroczynnym spokojem późnej jesieni. Wielka gra barw i świateł zachwycała oko. W pośrodku zieleni lasu rozsiadła się zbytkowna osada, a wśród niej na wspaniałej terasie wznosił się budynek, który swym wyglądem robił wrażenie budynku publicznego. Wokoło ładnie zbudowanego, białego domu rozciągał się park ogrodowy, którego ogólne wrażenie przez zręcznie rozrzucone klomby, które były i na terasie, jeszcze się potęgowało. Za tym parkiem w głębi ciągnął się duży kawał ziemi, pokryty drzewami owocowemi i różnemi jarzynami. Nie widać go jednak było od domu. Ładne żelazne ogrodzenie otaczało całą posiadłość wokoło. Na metalowej tabliczce u wejścia wypisane było skromnie:

— Dr. Robert Burger. Zakład wychowawczy.

Twórca tej humanitarnej instytucyi siedział w swojej pracowni, zajęty załatwianiem korespondencyi. Okno, umieszczone wprost jego biurka, wychodziło na terasę, pozwalając mu widzieć ją całą oraz ogród kwiatowy. Wzrok jego zamyślony błądził z pewnem zadowoleniem po przepięknych klombach, przybranych w przepych flory jesiennej. Nagle drgnął silnie, uśmiech przewinął mu się przez usta i cicho wyszeptał:

— Marga!

Poczem zerwał się i pospieszył naprzeciw nadchodzącej.

Młoda kobieta szła z wahaniem się po przez plac, zdawała się być niezdecydowana jeszcze, czy ma podejść, czy też iść dalej. Chwilę zatrzymała się przy ogrodniku, który pilnie pracował przy pomocy dwóch wychowanków zakładu. Prawdopodobnie pytała go o doktora, który w śmiertelnej trwodze, że mogłaby odejść, spieszył już wielkimi krokami przez terasę.

Nie widział on nieszczęśliwej matki od dnia, w którym wraz z dr. Ammarellem wystuchali jej opowiadania. Otrzymał od niej tylko krótki list, bardzo serdeczny, z podziękowaniem. Potem umilkła, a on nie słyszał nic o niej, nie wiedział nawet, gdzie się obraca. List, który otrzymał, był wysłany z Londynu. Od tego czasu minęło już sześć tygodni, a ciągła troska o nią gnębiła go i zaprzątała jego umysł. Nie mógł już wobec siebie kłamać. Kiedy wtedy w Liverpoolu się rozstawali, żywił cichą i słodką nadzieję, że ujrzą się znowu, albowiem postać jej pozostawiła niezatarte wspomnienie w jego duszy. Obecnie sądził, że już wszystko przeminęło. Odezwanie się jej, było może potrzebą chwili. Nie pamiętała już o nim zapewne. Jakże chętnie byłby się dowiedział, jak jej dalsze życie się ułożyło. Czy udało jej się zdobyć z powrotem dziecko od srogiego, bez serca opiekuna, czy też opłakiwała jeszcze ciągle w żałobie jego stratę? A może rozchorowała się pod wpływem trosk i rozpaczy?

Dziwne — dopiero co myślał o niej, a tu nagle zjawiła się sama niespodziewanie przed jego domem. Jakże piękną i powabną wydała mu się, kiedy zbliżała się w poważnym majestacie swej osoby. Czarna suknia jedwabna doskonale odbijała przy białem jak marmur obliczu, z którego spoglądały jeszcze ciągle oczy Madonny, przysłonięte lekkim wyrazem troski i bólu. Tak, była piękną, tylko dziwnie bladą.

Za chwilę stał przed nią, czuł przyspieszone bicie serca, oczy mu błyszczały, kiedy skłonił się, aby ją powitać.

— Radosny to dzień dla mego domu, — nie mógł powstrzymać słów, cisnących mu się na usta.

Ona skłoniła głowę, a podnosząc po chwili na niego spojrzenie, zaprawione lekkim wyrzutem, zaczęła:

— Przybyłam, aby poznać pański zakład, doktorze! Pan wie, jak bardzo i dlaczego nim się interesuję. Widzę, że pan porobił już znaczne postępy.

— Tak jest, proszę pani. Mamy już 32 dzieci, zatrudniam dwóch nauczycieli, nauczycielkę i dwie zakonnice, oprócz personalu służbowego. Prawie co tydzień napływają nowe zgłoszenia.

— Czyż tyle nędzy i biedy jest na świecie?

— Niestety — ale jeszcze więcej gotowości, spieszenia jej z pomocą. O patrz pani, oto dwóch naszych wychowanków pilnie pracuje, pomagając ogrodnikowi przy oczyszczaniu gazonów. Wszystko, co wyplewią, znoszą na jedną kupę a jak wyschnie, spalają w wielkim ogniu. Nie prawda Mikołaju?

— Tak, wuju Burgerze — odkrzyknął chłopak wesoło.

— Dzieciak wygląda wcale intelligentnie, — zauważyła Marga zdziwiona.

— Bo też to wcale mądry chłopak.

— A mimo to tutaj?

— O, u niego co innego nie dostaje — głowa jest w porządku. Choroba siedzi w rękach.

— Skurcz?

— Tak, skurcz palców, kleptomania pani baronowo. Nie umie pojąć, jaka jest różnica między mojem a twojem. Przytem w domu chłopak opływa w dostatki, — ojciec jego jest milionerem.

— A czy da się wyleczyć?

— Dopiero przed kilku dniami do nas przybył. Nie mogę jeszcze sprawy przesądzać. Ale proszę dalej, pani baronowo, mam nadzieję, że moje urządzenia będą się pani podobały.

Prowadził młodą damę przez wszystkie ubikacye instytutu i pokazywał jej po kolei sypialnie i sale szkolne, urządzone według ostatnich wymagań hygieny, wzorowe sale chorych, łazienki, mieszkania dla personalu, urządzenie do ogrzewania, pralnię, bibliotekę, pokój do zabaw, pracownię robotniczą dla chłopców, zaopatrzoną obficie w różne przybory do lekkiego przyjemnego zajęcia lub poważnej nauki. Wreszcie zwiedzili pracownię dziewcząt, gdzie małe wychowanki uczyły się robót kobiecych. Obok budynku głównego rozciągał się ogród gospodarczy, gdzie w szopie złożone były narzędzia ogrodnicze wszystkich dzieci, w ogrodzie kwiatowym cały szereg rabatów uprawiany był przez poszczególnych wychowanków i wychowanki. Osobno urządzone były place do gimnastyki i gry w tennisa; słowem zakład posiadał wszystko to, co mogło go postawić na wyżynie najwybredniejszych nowoczesnych wymagań wychowania.

Marga była zdziwiona, widząc te wszystkie środki pomocnicze, jakimi rozporządzała nowoczesna wiedza.

— Już sam widok pana zakładu musi obudzić w sercach biednych rodziców promyk nadziei — oświadczyła, pełna zapału, — Doktorze, pan jest dobroczyńcą ludzkości! Oby się znalazł taki człowiek, któryby miał dosyć środków na stworzenie takich zakładów także dla biednych, gdzieby i ubogie dzieci miały wszystko to, co tutaj dajecie bogatym. Jeśli się zaś zrozumie metodę, jaką pan stosuje przy wychowywaniu i pozna, jak systematycznie pan wszystko prowadzi, — to się musi uwierzyć, że takie regularne życie wpływa doskonale na biedne dzieciątka. Jednego tylko, mojem zdaniem, brak tym dzieciom, czego nikt im nie zastąpi.

— A co by to miało być, pani baronowo? — zapytał zaciekawiony lekarz.

— Miłość matczyna, panie doktorze.

Robert przytaknął z uśmiechem.

— W poszczególnych wypadkach może pani ma racyę. Nie powinna pani jednak zapominać, że niestety bardzo często te matki, które najbardziej swe dzieci kochają, nie są dobremi wychowawczyniami. One dają dzieciom miłość, ale nie wychowanie. Inne znowu, w nawale zajęć życiowych, nie mają dość czasu, aby dzieciom go poświęcić. A cóż dopiero matki w rodzinach biedaków? Niestety, w takich warunkach musimy powiedzieć, że dzieci zyskują tylko na tem, jeśli do nas się dostają, chociaż w zasadzie zgadzam się z pani poglądami. Rodzina może się stać najlepszym i jedynie do tego powołanym wychowawcą, jeśli rodzice oboje z punktu widzenia etycznego i ogólnego wykształcenia stoją na wysokości swego zadania i wymagań obecnej chwili. I wtedy jednak musi być wychowanie to posiłkowane szkołą i innemi odpowiedniemi instytucyami. Dlatego to kwestya wychowania powinna stanowić ważną troskę państwa. Przy wyborze publicznych wychowawców lub też kierowników państwowych zakładów opieki lub zdrowotnych powinno się przedewszystkiem zwracać uwagę na to, aby kandydaci byli ludźmi, umiejącymi po ludzku współczuć z biedą i troską. O ile chodzi o mój zakład, to staramy się, aby dzieciom zastąpić tę miłość rodzinną. Idea kierującego zakładem decyduje o kierunku wychowania, przenikając wszystkich wokoło. Jaki pan, taki sługa. Pani pozwoli, że pokażę pani moich wychowanków. Zobaczy pani, jak się układa stosunek towarzyski między nimi a ich opiekunami.

Zaprowadził ją na boisko zabawowe, gdzie właśnie zgromadziły się wracające z przechadzki dzieci. Marga z zadowoleniem i uciechą przypatrywała się jak serdecznie nauczyciele i siostry odnosili się do dzieci, z jakiem zaufaniem i humorem one się do nich zwracały. Jakby w domu rodzicielskim wszyscy mówili sobie po imieniu, co usuwało wszelką formalistykę i sztywność we wzajemnym stosunku. Robert był ogólnie nazwany „wujem“. Dzieci powitały go radośnie, czepiały się jego ubrania, wkońcu zmusiły go do udziału w zabawie.

Zaprosił on i Margę do wspólnej zabawy. Przyłączyła się do koła, ale po krótkiej chwili wyrwała swe dłonie z rąk dziewczątek i usunęła się pospiesznie z boiska.

Lekarz dopędził ją w chwilę potem.

— Pani baronowo, co się pani stało?

Zwróciła ku niemu twarz zalaną łzami.

— Niech pan daruje, panie doktorze, — słabości kobiety. Ja... o! widok ten nieskończenie raduje me serce. Widzieć, jak nawet dla tych biednych, upośledzonych istot wiosna życia staje się naprawdę radością. Ale ja — to ponad moje siły, — myślę ciągle o mojem drogiem dziecku.

Robert nie miał dotychczas odwagi, choćby jednem słowem zapytać się o tę drażliwą kwestyę. Delikatność jego usposobienia lękała się, aby nie wywołać zbyt przykrych wspomnień. Przypuszczał, że serce jej, przepełnione całe nieszczęściem, będzie potrzebowało ujścia, i samo przemówi z chwilą, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

— Wejdźmy do domu — poddał jej łagodnie.

Przeszli do pracowni doktora Burgera. Baronowa osunęła się na krzesło i zasłoniła chusteczką oczy, gdyż łzy płynęły niepowstrzymanie.

— O, mój Rudolf, mój drogi, jedyny Rudolf! — łkała.

— Nic pani nie osiągnęła — baronowo?

— Nic!

— On ciągle jeszcze przy opiekunie?

— Tak, przy nim. A on potrzebuje opieki matki! Oddany na pastwę obcych rąk, w tym stanie, w jakim się znajduje; o! to dziecko umrze!

— Czy nie próbowała pani zmienić postanowienia barona?

— Wszystko napróżno. Domaga się, abym powróciła, — mam zostać jego żoną, jeśli chcę być matką mojego dziecięcia.

— Pani nie widziała już więcej swego syna?

— Owszem, — tego nie może mi zabronić. Ale tylko kilka razy i to w jego obecności, co już jest straszną dla mnie próbą. O doktorze! matce porwać jej dziecko! nawet najwinniejszej nie powinno się tego robić, chyba, że jest taka bez czucia, że sama podepta swe obowiązki. Dziecko należy się matce z prawa Bożego. Dla mojego biedaka lepiejby było, aby umarł, aniżeli aby był w tem położeniu, w jakiem się znajduje, pozbawiony kochającej opieki matczynej.

Doktór stanął tuż przed nią.

— Pani jest wzburzona, biedna kobieto. Pani będzie przecież wolała raczej widzieć swe dziecko żywem, nawet gdyby okoliczności, wśród jakich mu przebywać przyjdzie, były najgorsze. Matka...

Przerwała mu z wybuchem namiętnej zaciekłości:

— Matka kocha swe dziecko tak silnie, że z miłości jest w stanie zabić je, gdyby nie wiara, która od takiego kroku powstrzymuje.

— Pani baronowo! Pani by tak zrobić nie mogła...

Podniosła się, lewą rękę oparła o krzesło, zaś prawą przyciskała falującą pierś.

— Nie, nie zrobiłabym tego, ale rozumiem te biedne matki, które z rozpaczy i bólu zabijają. Moje dziecko nie może żyć bezmenie. Życie, na które ono

zostało skazane, jest politowania godnem. Każdy dźwięk jego nierozwiniętej mowy woła o współczucie. Jak długo troskliwa matka strzeże każdego poruszenia się swego pieszczocha, stan ten jest znośny. Jeśli jednak matka ma umrzeć i rozważy los, jaki czeka tę nieszczęśliwą istotę, do końca życia być więzionym, bez chwili szczęścia, pod nadzorem ludzi niekochających, przed których srogością biedactwo nieraz kryć się będzie po kątach, nędzny niewolnik swych dozorców, za mało czujący, aby uchwycić któryś z promieni słońca, dosyć jednak czuły, aby być wrażliwym na ból i cierpienie, to co wtedy?

Robert cofnął się wzburzony.

— Do mnie może pani tak mówić — nieszczęśliwa, — ale do nikogo więcej. Rozumiem pani boleść! Współczuję z panią i gdybym wiedział jakąś radę...

— Dla mnie nie ma już ratunku, panie doktorze!

— Kto wie! — Nie trzeba się tak zupełnie poddawać rozpaczy. Niech się pani napije szklankę wina.

Podszedł do szafki obok biurka, kluczem, który wybrał wśród pęku innych, otworzył ją i wyjął flaszkę i szklankę.

— Proszę panią. To uśmierzy trochę pani wzburzenie. Tak nie mogę pani puścić.

Marga wypiła pospiesznie. Po chwili przemówiła już znacznie spokojniej:

— Proszę mi wybaczyć, doktorze. Pan po raz drugi widział mnie w chwili słabości duchowej. To się już nie powtórzy. Pan ma racyę, szklanka wina działa jak eliksir.

Usiadła znowu i rozejrzała się spokojnie dookoła. Spojrzenie jej zatrzymało się na otwartej szafie.

— Pan ma całą aptekę pod ręką? zdziwiła się.

— Muszę mieć, pani baronowo, — u dzieci różne często zachodzą wypadki, na które musimy być przygotowani. My... proszę!

Ktoś zapukał. Jeden z nauczycieli zajrzał przez uchylone drzwi.

— Panie doktorze, proszę na słówko.

— Przepraszam panią bardzo, na chwileczkę.

Robert wybiegł szybko, aby rozmówić się z nauczycielem. Szło o kilka wyjaśnień, rozmowa przedłużyła się chwilę, dłużej, niż doktor się spodziewał. Kiedy powrócił do pokoju, Marga stała przed etażerką z książkami, pilnie studyując tytuły.

— Same książki lekarskie, — zauważyła, usiłując się uśmiechnąć.

— Pani daruje, że kazałem jej tak długo czekać. Musiałem jednak załatwić pilną sprawę.

— Proszę.

Po bladości twarzy, wzruszonym oddechu poznał, iż z trudem tylko panuje nad sobą.

— Nie chcę panu dłużej czasu zajmować, — oświadczyła pospiesznie. — Widok tylu współtowarzyszy niedoli mojego Rudolfa, rozdarł na nowo moją ranę sercową, krwawi też silniej, niż w ostatnich czasach. Próba była... za twarda...

— Nie mogę więc spodziewać się, że panią znowu tutaj ujrzę? — zapytał zawiedziony.

— Owszem, przeciwnie, — chciałam właśnie pana prosić, aby mi wolno było często tutaj przychodzić. Będzie to dla mnie pociechą, gdy będę mogła pana pupilom okazać trochę tej miłości, której nie mogę dać mojemu własnemu dziecku. Jakżeż chętnie zajęłabym stanowisko którejś z sióstr, aby panu pomagać w jego pracy. Może znalazłabym uspokojenie w tem zajęciu.

— Niech pani przychodzi, jak tylko pani odczuje potrzebę tego, — mój zakład stoi dla pani otworem. — Uścisnął wzruszony podaną rękę. — Niech pani nie rozpacza, i dla pani zaświta nowe szczęście. Cierpliwości i nadziei nigdy nie powinniśmy całkiem tracić, gdyż niejedno może się zmienić. Rozpacz i zdenerwowanie nie tylko nic nie naprawią, ale przeciwnie, powiększają tylko męczarnię duszy. Jeśli pani potrzebować będzie pomocy przyjaciela, każde wezwanie pani znajdzie mnie gotowym do usług.

Skinęła mu z wdzięcznością głową, poczem oboje opuścili zakład. Lekarz odprowadził ją aż do bramy wjazdowej.

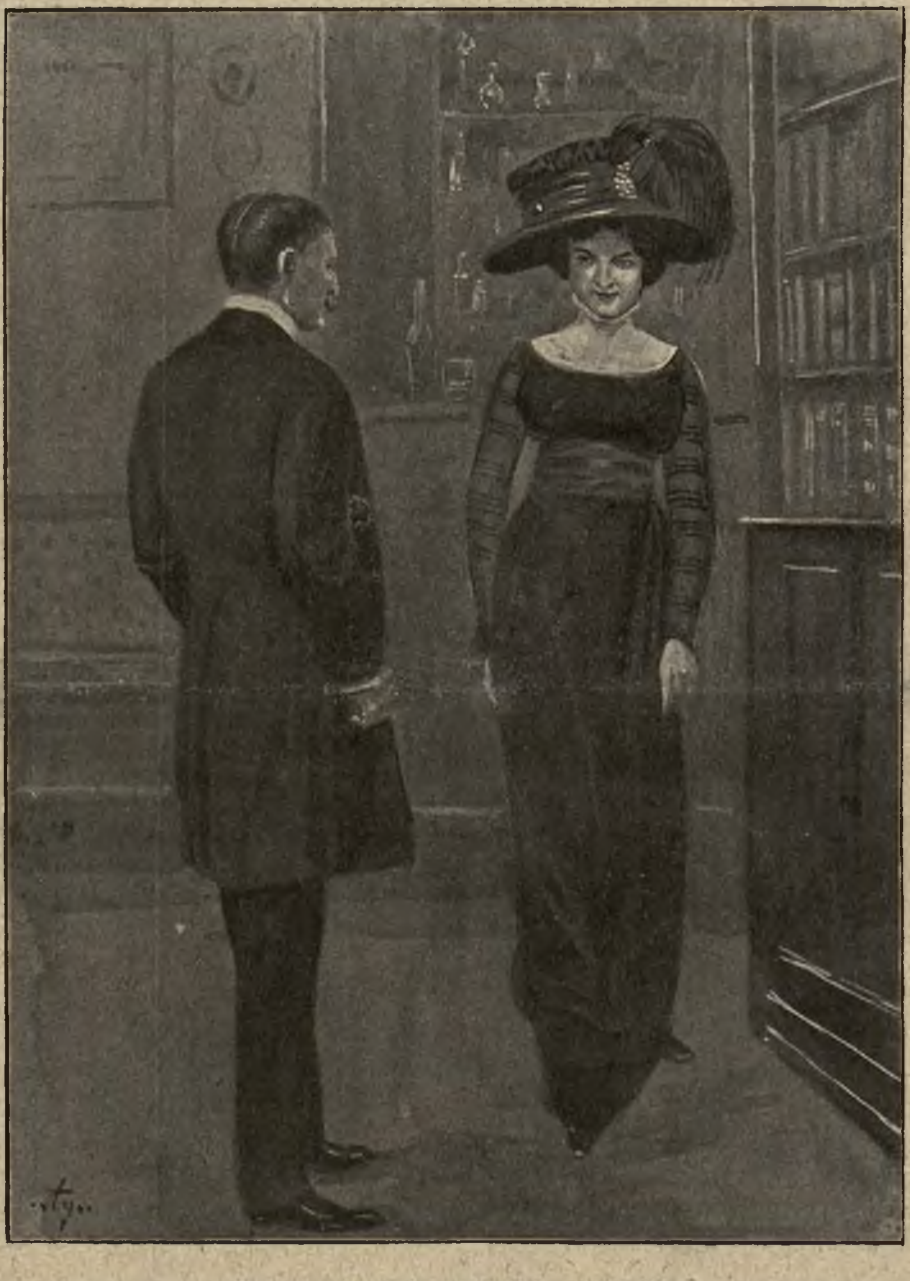
— Nie mogę ostatecznie brać za złe baronowi Wolfernowi, że wszystko robi, aby ją nazwać swoją żoną, — wzdychał młody lekarz, kiedy wracał do domu, — cobym ja sam dał za to, aby módz... ale o tem niema co marzyć!

A jednak myślał o tem, więcej nawet, niżby to dlań było wskazanem, zwłaszcza od dnia, w którym ją po raz drugi zobaczył...

W sześć dni po wizycie baronowej wszedł Robert rano o dziewiątej godzinie do swej pracowni. Jeden z nauczycieli miał silny i bolesny napad neuralgii, cierpiał bardzo i tylko zastrzyknięcie morfiny mogło mu przynieść ulgę. Doktór szybko otworzył swą szafkę i wyciągnął rękę po flaszeczkę, która stała na dole. Zdumiony cofnął się.

Flaszeczki z morfiną nie było.

Doktor Burger dbał bardzo o porządek i dlatego był z góry przekonany, że flaszeczki nie przestawił gdzieindziej. Wiedział odrazu, że jej wogóle już nie ma. Mimo to przeszukał całą szafę, nic nie znalazł.



— Pan ma całą aptekę pod ręką? — zdziwiła się.

Jak ona znikła? Szafa była zawsze zamknięta, klucz w jego przechowaniu, nosił go zawsze przy sobie w kieszeni. Nikt inny, prócz niego, nie miał dostępu do szafki. Nigdy nie zostawił jej otwartej.

Nagle zbladł.

Raz przecież zostawił ją niezamkniętą. Było to w czasie wizyty baronowej Wolfern...

Musiał wtedy na chwilę wyjść z pokoju, nieobecność jego trwała dłużej, niż przypuszczał...

— Tylko Marga mogła zabrać tę truciznę, ...mój Boże! Jej wzburzone, straszne słowa, nie ulega wątpliwości, ona zabrała flaszeczkę!

ROZDZIAŁ IX.

Tylko Marga Wolfern mogła była zabrać truciznę. Nieszczęśliwa kobieta musiała w czasie nieobecności zaglądać do szafy, tam zaraz dostrzegła małe flaszeczki z truciznami, które jeszcze specyalnie zwróciły jej uwagę napisami i krzyżami. Uległa pokusie i zabrała flakon z trucizną najbardziej odurzającą.

Na co?

Wzdrygnął się przed posądzeniem.

Nie widział innej rady, jak tylko natychmiast udać się do niej i zażądać od niej zwrotu strasznego przedmiotu, ostrzedz ją, zakląć!

Doktór Burger zaordynował choremu opium zamiast morfiny, szczęśliwie dało się w tym wypadku jedno za drugie zastosować. Oczekiwana ulga w cierpieniu niebawem nastąpiła a Robert, doczekawszy tego rezultatu, natychmiast wybrał się do miasta. Dopiero kiedy siedział już w tramwaju, przypomniał sobie, że nie zna zupełnie adresu Margi!

Zimny dreszcz przebiegł go na tę myśl! Jak ją znaleźć w tem milionowem mieście? Dlaczego nie zapytał jej wtedy, gdzie mieszka. Mógł wprawdzie udać się do biura meldunkowego i tam szukać jej adresu. To jednak było o tyle tylko możliwe, o ile ona mieszkała w samym Berlinie, mogła przecież mieszkać także na przedmieściach, albo wogóle gdzieś na wsi.

Baron Wolfern mieszkał w okolicy ogrodu zoologicznego, wspominała mu o tem. Przypuszczał więc, że i ona nie oddaliła się zbytnio od swego dziecka. Wynik poszukiwań potwierdził jego przypuszczenia. W biurze meldunkowem znalazł ku swej radości jej adres. Mieszkanie jej znajdowało się niedaleko bramy Brandenburgskiej. Widocznie młoda kobieta osiadła tu tylko prowizorycznie, wynajęła bowiem tylko kilka pokoi na wielkiem piętrze. Prowadziła jednak zupełne gospodarstwo domowe.

Młoda pokojówka otworzyła doktorowi i na zapytanie o swą panią, oświadczyła, że jej niema w domu.

— Czy pani baronowa wnet powróci? Przyjdę wtedy jeszcze raz.

— Dzisiaj zupełnie nie wróci.

— Ah! wyjechała?

— Już od kilku dni jej niema.

— Pani nie wie, dokąd wyjechała?

Dziewczyna okazała zakłopotanie.

— A panny Röhn niema także?

— Także nie, — ale ona wyszła tylko do miasta. Jeśli pan zechce zaczekać...

Czekał więc. Służąca zaprowadziła go do małego, ale ładnie urządzonego saloniku. W tej chwili nie był jednak usposobiony, aby podziwiać dobry smak tak drogiej mu właścicielki mieszkania. Sprawa flaszeczki z trucizną zajmowała go wyłącznie. Z wzrastającą niecierpliwością chodził tam i z powrotem, wyglądając co chwilę oknem. Upłynęła jednak prawie godzina, zanim oczekiwana panna Röhn nadeszła. Stara kucharka poznała natychmiast towarzysza podróży z „Królowej Ludwiki“ i powitała go bardzo uprzejmie.

— Szkoda, że pani mojej niema w domu — ubolewała ze szczerą otwartością. — Jakże byłaby się ucieszyła.

— Szukam baronowej i muszę z nią koniecznie mówić, — odpowiedział Robert. — Podobno wyjechała, — czy pani wie, dokąd?

— Wyjechać, nie wyjechała, jest w Berlinie.

— Gdzie, na Boga! Chyba nie w zakładzie dla nerwowo chorych?

Mimowoli obudziło się w nim to podejrzenie, kiedy zestawił razem zmieszanie się pokojówki i ostatnie zdenerwowanie Margi, jakiego był świadkiem.

— Ach nie, panie doktorze. Ona jest u pana barona!

— U opiekuna dziecka?

— A właściwie przy swem dziecku, panie doktorze. Przed ośmiu dniami dowiedzieliśmy się, że mały Rudolf ciężko zachorował. Wtedy poszła tam i błagała barona, aby jej powierzył staranie o dziecko, gdyż inaczej musi umrzeć.

— A... on na to się zgodził?

— Nie zaraz, musiała przejść z nim twardą walkę. Wreszcie ustąpił, — i od tej chwili jest ona tam i zarówno w dzień jak i w nocy czuwa przy łóżeczku chorego Rudolfka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tydzień tatrzański w Zakopanem.

Jubileusz czterdziestolecia Towarzystwa tatrzańskiego obchodzono bardzo uroczyście w Krakowie i Zakopanem. W Krakowie obchód urządzony został w formie uroczystej akademii w auli Wszechnicy Jagiellońskiej, w Zakopanem zaś uroczystość jubileuszowa trwała cały tydzień. W program uroczystości weszło szereg wycieczek, urządzonych w różne okolice Tatr, uroczysty wiec tatrzański, oraz poświęcenie kamienia węgielnego pod muzeum imienia dra Chałubińskiego.

Tydzień tatrzański rozpoczął się uroczystością poświęcenia kamienia węgielnego. Licznie zebrały się tłumy publiczności i górali. Z pięknie przystrojonej trybuny przemówił pierwszy dr. Kazim. Dłuski, kreśląc historyę muzeum, oraz czcząc pamięć dra Chałubińskiego. Po nim przemawiało szereg mowców, jak ks. Walenty Gadowski z Tarnowa, odkrywca Orlej Perci, prof. Kulczyński, W. Regięć, redaktor Gwiżdż, Wojciech Rój, M. Zaruski, p. Świtalski ze Lwowa i wielu innych. Zaraz po poświęceniu kamienia węgielnego odbyła się druga uroczystość, wiec w „Dworcu tatrzańskim". Wiec zagaił prof. Kulczyński, zaś przemawiali Jerzy Żuławski, dr. Maryan Zaruski, prof. Pawlikowski, dr. Alfred Lityński i Dr. K. Dłuski.

Przez cały tydzień odbywały się następnie wycieczki w różne strony Tatr, zaś zakończyła tydzień wycieczka do Morskiego Oka, z którą połączony został obchód jedenastej rocznicy odzyskania Morskiego Oka.

Praca Towarzystwa Tatrzańskiego, oceniana i uznawana ogólnie, zaprezentowała się doskonale w czasie tego „tygodnia". Okazało się dowodnie, że pod jego sztandarem, grupuje się wielu ludzi dobrej woli, którym sprawy naszych gór polskich serdecznie leżą na sercu, a którzy na wezwanie Towarzystwa przybyli, aby okazać swoją gotowość do pracy.

W wycieczkach, urządzonych przez poszczególne sekcye, brało udział liczne grono turystów. Wycieczki te zwiedziły prócz gór bliższych, także okolice dalsze, jak Zamki Orawskie i Św. Marcina Turczańskiego. Ostatnia wycieczka do Morskiego Oka wyruszyła różnymi drogami, mianowicie przez Zawrat, Swinicę, Kozi Wierch i Krzyżne.

W dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi z uroczystości tygodnia tatrzańskiego.




Tydzień tatrzański w Zakopanem:

Komitet budowy gmachu Muzeum im. Chałubińskiego.

Skauci zakopiańscy, biorący udział w uroczystościach.




Tydzień tatrzański w Zakopanem:

W czasie obchodu jedenastej rocznicy wygrania sporu o Morskie Oko palono ognie.

Odpoczynek jednej z „jubileuszowych" wycieczek. (Fot. „Tatry" Zakopane).




Tydzień tatrzański w Zakopanem:

Ks. Gadowski przemawia w czasie uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod Muzeum im. Chałubińskiego.

Obchód jedenastej rocznicy wygranego sporu o Morskie Oko. Przemawia dr. Diell. (Fot. „Tatry", Zakopane).

Kronika tygodniowa.

Dzięki Bogu skończyła się stosunkowo dość szczęśliwie druga wojna bałkańska pokojem bukaresztenskim, choć nie jest jeszcze wykluczonem, że możemy niedługo usłyszeć o trzeciej, zwłaszcza, iż, jak już poprzednio zaznaczyłem, teraz kolej na Greków i Serbów, aby się lekko poczubili.

Wobec tego można się spodziewać, że bodaj na drugą połowę sierpnia będzie można odłożyć czas odpoczynku, zwłaszcza, że jest nadzieja, iż i pogoda może się raz przecież ustatkuje. Bardzo żałuję, że z powodu zajęć zawodowych nie mogłem wcześniej opuścić Krakowa, choć ekscellencya. Korytowski i prezydent Leo zapraszali mnie bardzo serdecznie do Maryenbadu, kędy we wannach, razem z Kostiem Lewickim radzą nad równowagą polityczną Galicyi i Lodomeryi, wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem.

Nie mogąc być tam osobiście, uprosiłem przecież jednego z łaziebników, który na szczęście umie stenografować, aby dokładnie spisywał ich polityczne rozmowy i przesyłał mi codziennie telegraficzne sprawozdania.

Jak dotąd, otrzymałem ich trzynaście (trzynastka prześladuje mnie od urodzenia!) i mogę stwierdzić z najbardziej stanowczą stanowczością, że politycy nasi czują się w Maryenbadzie doskonale, radzą ciągle i mają nadzieję, że się wreszcie uda doprowadzić do porozumienia.

Na razie zgodzili się już co do kilku wspólnych wycieczek, więc może przyjdzie kolej i na reformę wyborczą, raczej na wyszukanie projektu kompromisowego między dawną reformą a jej nowemi zasadami.

Tak więc każdy z polityków galicyjskich miał jedno oko zwrócone na Maryenbad, drugie na Bukareszt, w kierunkach zatem wprost przeciwnych. Tego rodzaju patrzenie jest, jak wiadomo, bardzo męczącem, a nawet dla wzroku wprost niebezpiecznem, przyczynia się bowiem do wytworzenia tak zwanego politycznego zezowania, które polega na tem, że rozmaite rzeczy widzi się pod innym kątem, niżby należało.

Ponieważ jednak maryenbadzkie konferencye nie mają zbyt wielkiego znaczenia, gdyż nie są oficyalne, główną uwagę zwróciłem na Bukareszt, któremu przed miesiącem ani się nie śniło, że będzie rozstrzygał o losach Europy, a przynajmniej Bałkanu.

Zjechali się tam przedstawiciele rządów Bułgaryi, Grecyi, Serbii i Rumunii i radzili nad preliminaryami pokojowemi przez cały tydzień. Pokrajano na nowo europejską część płaszcza proroka i podzielono się nią bardzo zgodnie, reszta Europy jest jednak tego zdania, że bez jej *placet* nic na Bałkanie stać się nie powinno, warunki pokojowe muszą więc być poddane rewizyi reunionu ambasadorów. Wytworzyła się z tego powodu nowa konstellacya polityczna, w której Austrya pójdzie prawdopodobnie ręka w rękę z Rosyą, Francya patrzy na nie z podełba, a Niemcy nie są jeszcze zdecydowane, w którą się przechylić stronę.

To jedno jest pewnem, że Turkowi nie chcą w żaden sposób pozwolić na zostanie w Adryanopolu, który on uważa znów za swoje dziedzictwo i powiada, że się nie ruszy, choćby nawet Europa groziła mu sądową rumacyą.

Choć więc zaprowadzono na Bałkanie jaki taki na razie porządek, dość będzie jeszcze kłopotu, właśnie z powodu Adryanopola, jak bowiem donoszą, Enver-bej, który ma zostać teraz jenerałem, projektuje nawet atak na bułgarski Filipopol, aby wyzyskać w zupełności słabość swego pogromcy.

Rzecz prosta, że na drugiej wojnie bałkańskiej wyszła najgorzej Bułgarya, ale też w całej pełni na to zasłużyła.

Wina wybuchu tej wojny spada, jak to stwierdzono, na nią wyłącznie.

Odniósłszy szereg świetnych zwycięstw w wojnie z Turkami, pychą uwiedziona, rzuciła się ślepo, bez odpowiedniej asekuracyi, w odmęt awantury, ufna, że samo jej wystąpienie podziała piorunująco na byłych sojuszników.

Tymczasem klęska po klęsce spadała na wycieńczone poprzednią wojną wojska bułgarskie, które wzięto w cztery ognie, bo nawet i Turcya, pamiętając o przysłowiu, że „na pochyłe drzewo i koza skacze“, ośmielona pogromem swego wroga, rzuciła się nań i zabrała Adryanopol.

Gdyby nie inicyatywa Rumunii, wojska nieprzyjacielskie byłyby zajęły nawet Sofię i tam podyktowały królowi Ferdynandowi warunki pokoju.

Ale i onegdajszy, zawarty w Bukareszcie, pozbawia Bułgaryę przeważnej części zdobyczy, poczynionych w wojnie z Turkami. Przedewszystkiem powaga jej państwowa i militarna straciła wiele na swym blasku, rozwiały się też sny o wielkiej Bułgaryi i koronacyi na cara Symeona w Carogrodzie.

To zaś, co udało się jej ocalić w pokoju bukaresztenskim, to zawdzięcza tylko temu, iż nie jest obojętną rzeczą dla mocarstw, jak w przyszłości ułożą się stosunki na Bałkanie.

Zgasła więc gwiazda Koburgów, kto wie nawet. czy car Ferdynand nie będzie musiał „ze względu na nadszarpane zdrowie“ przejść w dobrze zasłużony stan spoczynku. Spadek po nim objąłby najstarszy syn, książę Borys. Ludność Bułgaryi jest oburzona na politykę swego długonosego władcy. Sądzono, że będzie miał dobry węch, tymczasem zrobił kompletne fiasco.

Rumunia zato, nie wyciągnąwszy nawet zardzewiałego miecza z połamanej i pogiętej pochwy, zajęła na Bałkanie pierwszorzędne stanowisko, pełnomocnicy Unii podczas pożegnalnego obiadu w Bukareszcie kadzili królowi Karolowi, że on teraz będzie nadawał ton całej tamtejszej polityce.

Ale on sam w to nie wierzy!

Odezwał się naturalnie i cesarz Wilhelm, który ujęty męstwem nowoczesnego Ajaksa, króla Konstantego, zamianował go marszałkiem armii niemieckiej. Biedny Ferdzio na razie nic nie dostał!...

Takie to zmienne są losu koleje! Skończyła się już druga wojna bałkańska, powrócił pan Paweł z podróży politycznej po krajach trójprzymierza (skąd · prócz próżnej portmonetki przywiózł także katar), wyjechał na letnie wywczasy sympatyczny pan Władysław z handlu „pod Obrazem“...

Zacznie się więc kanikuła, ale taka w całem tego słowa znaczeniu, która jednak trwać będzie zaledwie dwa tygodnie. Dnia pierwszego września wrócą już nasze pociechy z wakacyi, zacznie się nowy rok szkolny, a z nim nowe życie i ruch. Nawet c. k. Rada szkolna krajowa zwróciła się do europejskich polityków z ponagleniem, żądając szybkiego załatwienia sprawy bałkańskiej i definitywnego uporządkowania mapy półwyspu jeszcze przed końcem wakacyi, by przypadkiem nauka geografii w szkołach średnich jakiegoś skutkiem tego uszczerbku nie poniosła.

To zapewne było powodem, że delegaci bukaresztenscy tak się pospieszyli z decyzyą. Przyznam się szczerze, iż, gdybym był na ich miejscu, byłbym pertraktacye prowadził co najmniej przez dwa miesiące. Przecież to bardzo przyjemnie brać dyety, jeść gratis polityczne obiady i t. d.

Nasi politycy postępują inaczej i dlatego dobrze im się dzieje, po ciężkiej a wyczerpującej pracy dla dobra swego kraju i narodu zostaje im zazwyczaj tyle, że na starość mogą żyć spokojnie.

Ale, bo ich zasadą jest, by się przypadkiem nie spieszyć. *Festina lente!*

Ale dajmy już spokój polityce, przecież to wakacye!

Część natchnienia trzeba koniecznie zachować na później, z Bałkanu mogą nas jeszcze zaskoczyć różne niespodzianki, zwłaszcza, że w myśl traktatu bukaresztenskiego Bułgarya zobowiązała się przeprowadzić u siebie natychmiast demobilizacyę, a tymczasem Turcya gromadzi w Tracyi ciągle nowe wojska i zaczyna coraz poważniej zagrażać tym, którzy ich niedawno upokorzyli.

Król Ferdynand wystosował do armii rozkaz dzienny, w którym wspomina o przewagach bułgarskiego oręża i garbatym losie, jaki go prześladuje.

Charakterystycznem jest zdanie:

„Wyczerpani i znużeni, ale nie pokonani, musieliśmy zwinąć sztandary sławetne, póki lepsza nie nadejdzie pora“.

Kto wie, czy to jednak nie jest łabędzi śpiew jego królewskiej mości, niedoszłego Symeona.

Taki pech ściga od jakiegoś czasu i „państwo bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“. Najsławniejszymi Niemcami dwudziestego stulecia są: hr. Zeppelin, robiący w powietrzu i pan Krupp, przyjaciel cesarza Wilhelma, fabrykant armat i innych zabawek pokojowych.

Od jakiegoś czasu nie wiedzie się pierwszemu, śpiewają o nim nawet wesołą piosenkę:

„Od komina do komina
Leci balon Zeppelina,
Lecz nareszcie pękła lina,
Dyabli wzięli Zeppelina“...

Bo też balony jego albo pękają i lecą na dół, zamiast do góry, albo się palą. Hakatyści podejrzywają, że wchodzi tu w grę polska intryga, niestety, nie będą mogli powiedzieć tego samego o panu Kruppie, którego oficyaliści wprowadzili do armii pruskiej najbardziej wstrętną korupcyę, byle tylko zniszczyć konkurencyę i zmonopolizować dla siebie dostawy dla państwa.

Ostatni proces odkrył całą ohydę ich postępowania, sprawdziło się przytem znane niemieckie przysłowie: *Kleine Diebe hängt man auf, grosse lässt man laufen.*

Właściwy winowajca śmieje się w kułak, bo wie, że jemu nic złego stać się nie może.

A teraz właśnie dla wszelkiego rodzaju Kruppów będzie prawdziwe żniwo, gdyż tak Niemcy, jak i Austrya zapowiadają gwałtowną reorganizacyę armii we wszelkich jej rodzajach. Podwyższony będzie także i kontyngent rekruta, a stan pokojowy armii, liczącej obecnie 463.310 ludzi, podniesie się do 560.000.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że, jak obecnie rzeczy stoją, karmimy ni mniej ni więcej, tylko prawie aż dziesięć tysięcy pensyonistów wojskowych, oficerów i urzędników, jeden zaś z nich jest tak uparty, że żyje już przeszło dziewięćdziesiąt lat i zapowiada, iż upomni się o drugą emeryturę, jeśli niebiosa pozwolą mu dosięgnąć czterdziestego roku spożywania *panis bene merentium.*

Ponieważ zaś wprowadzono w Austryi zwyczaj, że oficer o ile nie jest samodzielnym komendantem, ukończywszy trzydzieści pięć lat służby (którą liczy się od chwili wstąpienia do szkoły wojskowej), musi się podać na pensyę, miejmy nadzieję, że liczba pensyonistów wojskowych z roku na rok będzie się stale powiększać (wiadomo zaś, że oni lubią żyć długo), a Austrya zdobędzie pod tym względem rekord światowy, tak, jak go już posiada z powodu największej liczby emerytowanych ministrów.

W poprzednim numerze wdarłem się w zakres działania mej redakcyjnej koleżanki od mód i wspomniałem o przeźroczystych sukniach damskich, które tyle gwałtu narobiły w Ameryce, dziś muszę kilka słów poświęcić rodzajowi męskiemu, któremu obiecują na najbliższy wiosenny sezon wielce oryginalną nowość.

Suknie damskie, wycinane z boku (podobno celem lepszej wentylacyi) nieraz aż do przegubu kolanowego, nasunęły krawcom amerykańskim, mającym decydujący wpływ na charakter mody męskiej, projekt nowego pomysłu.

Takie samo wycięcie zastosowali oni do męskich *inexprimabli!*

W Ameryce radcy stanu (krawcy) odbywają często kongresy; na jednym z nich uchwalili więc, że odtąd nogawice męskie mają być wązkie, a nawet obcisłe, by uwydatniały kształty łydki... (niestety u większej części naszej młodzieży tak pięknie rozwinięte, jak u... żonatego wróbla). W tem miejscu, gdzie na kostce, tuż przy stopie, zbiega się szew, mają być ku górze wycięte. Wycięcie to nie powinno być dłuższem nad dwadzieścia centimetrów, szerokość jego nie może przenosić połowy obwodu nogi w tem miejscu.

W ten sposób uniknie się — jak powiadają — tworzenia się nieestetycznych fałdów lub załamań, a nadto dopomoże się do rozwinięcia się przemysłu pończoszniczego, odtąd bowiem będą mężczyźni chodzić w pięknych pończoszkach, które będą widoczne przez ów rozporek...

Specyalnie moda ta wskazaną jest przy kostyumach i ubraniach letnich, musimy więc cały rok poczekać na jej wprowadzenie.

Czy zyska ona u nas wielu zwolenników... wątpię, w każdym razie stwierdzam z przyjemnością, że na punkcie mody gotowo dojść do zrównania obu płci. Odtąd mężczyźni będą nosić rozporki, które dotąd były przywilejem płci nadobnej, wiadomo zaś, że szczególnie panie sufrażystki odznaczają się szczególniejszą predylekcyą co do niektórych części garderoby, używanej wyłącznie przez mężczyzn.

Teraz nastąpi zmiana przekonań i zgoda, bodaj na tym jednym punkcie.



Sześciowiosłówka w biegu.



Regaty w Warszawie: Załoga arbitra regat, p. Zaremby.

Regaty w Warszawie.

Warszawskie Towarzystwo wioślarskie ma już ustaloną sławę, jako towarzystwo dobrego sportu i wesołej zabawy. To też pod skrzydłami swemi gromadzi szerokie sfery towarzyskie i cieszy się ogólną sympatyą. Liczne tłumy spieszą też zawsze na urządzane przez Towarzystwo regaty, które w roku bieżącym odbyły się ubiegłej niedzieli. Stan wody na Wiśle był tak wysoki, iż regaty przedstawiały pewne niebezpieczeństwo, mimo to przebieg ich był pomyślny i obyło się bez wypadku.



Zgon lekarza filantropa: Dr. Józef Gostyński, dyrektor Zakładu dla nieuleczalnie chorych im. Bilińskich.

Komisyę wyścigową stanowili pp. wiceprezes L. Kobyłecki, H. Koch, A. Lofh, F. Schneider, S. Wilfert, W. Paszkowski, L. Spiess, G. Brun, S. Żychliński, J. Loth i J. Drozdowski. Starterem był p. A. Gurney. Z towarzystw zaprzyjaźnionych przybyły przedstawicielki Klubu wioślarek oraz goście z Krakowa pod wodzą p. Hupczyca. Biegów było jedenaście.

W pierwszym biegu skulingów zwyciężył p. E. Safft. W drugim biegu na skulingach - skifach pierwszy był p. H. Milatti. Trzeci bieg na gigach wzięła osada, prowadzona przez p. Z. Kudelskiego. Czwarty bieg juniorów na sześciowiosłówkach wśród ogólnego zainteresowania zdobyła osada prowadzona przez p. H. Millatiego.

Piąty bieg race-botów dał zwycięstwo osadzie ze sternikiem p. Z. Kudelskim.

Bieg wioślarzy członków Tow. sportowego zdobyła osada, prowadzona przez p. E. Saffta.

Bieg pair-oarów wygrał p. Krasiński, na półbąkach zwyciężyła osada p. Semadeniego. Na łodziach dwunastowiosłowych zwyciężyła osada p. T. Marcinkowskiego.

Zakończyły regaty trzy biegi amatorów. W pierwszym na sześciowiosłówce zwyciężyła osada pod sterem p. Wilkowiejskiego, w drugim na łodziach czterowiosłowych pierwszą była osada pod sterem p. K. Hoffmana.

Ostatni bieg był najbardziej oryginalny. Startowali mianowicie przewoźnicy o nagrody pieniężne na retmankach. Pierwszą nagrodę zdobyli pp. Zaremba i Kosakowski.

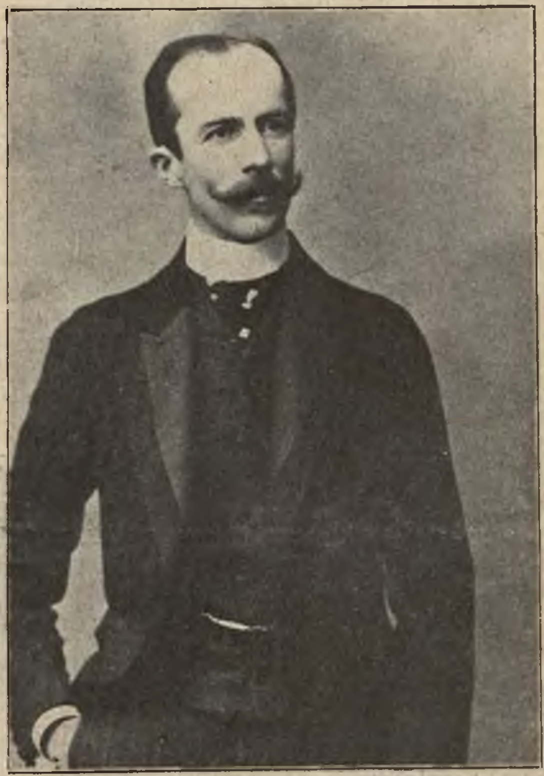
Po wyścigach odbyło się uroczyste rozdanie nagród. Illustracye nasze przedstawiają szereg ciekawych momentów z wyścigów.

Sensacyjne samobójstwo.

Nadzwyczaj przygnębiające wrażenie wywołało w całej wschodniej Galicyi, zwłaszcza we Lwowie i Stanisławowie, samobójstwo Mieczysława Brykczyńskiego, właściciela dóbr, syna ś. p. Stanisława, byłego prezesa Galicyjskiego Tow. gospodarskiego.

Pierwotnie obrał sobie ś. p. Zmarły karyerę polityczną i wstąpił do namiestnictwa, następnie osiadł na roli. W życiu narodowem i obywatelskiem brał żywy udział i cieszył sie powszechnem zaufaniem i poważaniem najszerszych sfer. Dowód tego dawano, powierzając mu kilkakrotnie mandat marszałka powiatu stanisławowskiego.

Na temat samobójstwa krążą rozmaite domysły. Jedni łączą je z krachem Banku mieszczańskiego w Stanisławowie, którego ś. p. Brykczyński był członkiem Rady nadzorczej, inni twierdzą, że powodu samobójstwa szukać należy w kłopotach finansowych, w które denat popadł ostatnimi laty. Pozatem odosobnione głosy wspominają o chorobie nieuleczalnej. — Stosunki majątkowe Zmarłego wymagały znacznej gotówki, sytuacya jednak nie była wcale beznadziejną, bo majątek przewyższał półtora raza zobowiązania.



Sensacyjne samobójstwo: Zmarły we Lwowie tragiczną śmiercią ś. p. Mieczysław Brykczyński.

Niepowodzenia ostatnich czasów sprawiły mu jednak wiele kłopotów i podały samobójczą broń do ręki. W hotelu „Imperial“ we Lwowie dwoma wystrzałami z browninga pozbawił się życia, osierocając żonę i troje dzieci.



Ruchoma trybuna na statku.



Regaty w Warszawie: Trybuna sędziowska. (Fot. M. Fuks, Warszawa).



P. Miłowska jako Zuzia.



Pożegnanie opery i operetki lwowskiej w Krakowie:
P. Kuligowski w roli z operetki „Zuzia“.



P. Zaremba w roli z operetki „Zuzia“.

Pożegnanie opery i operetki lwowskiej w Krakowie.

Kończąc swą gościnę w podwawelskim grodzie, opera lwowska dała nam jako ostatnią nowość „Zuzię“, operetkę węgierskiego dla odmiany pochodzenia. Taką już jest dola polskiej operetki, że swych słuchaczów karmić musi albo węgierskim gulaszem, albo niemieckimi knedlami. Co robić — nasza własna, narodowa kuchnia muzyczna pikantnych takich potraw nie produkuje, a sprowadzać francuskie jest widać za drogo. Tak więc „popieramy przemysł krajowy“, rozciągając tę krajowość szerzej, bo na całą monarchię z tej i tamtej strony Litawy.

Nie należy jednak myśleć, że operetka lwowska sama nie czuje pewnych braków takiego systemu. Aby je pokryć, robi co może dla „unarodowienia“ wystawionych produkcyi. Jakiegokolwiek pochodzenia jest operetka — niemiecka, węgierska, czeska, czy nawet francuska — zawsze jest przez sympatyczny lwowski zespół podana po naszemu, po swojsku, po polsku. I słuchacz zapomina, że to na scenie mają być Niemcy, Węgrzy, Francuzi — słysząc i podziwiając pełną wdzięku i temperamentu p. Miłowską, niewyczerpanej pomysłowości i pogodnej wesołości p. Kasprowiczową, nawskróś swojskim operującego humorem p. Zarembę, sympatyczną p. Brzeską, tryskającego komizmem i swadą p. Solnickiego. Pan Kuligowski jest amantem w szla-



Duet z II. aktu „Zuzi“ (p. Miłowska i p. Kuligowski).

Pożegnanie opery i operetki lwowskiej w Krakowie:



Scena z III. aktu „Zuzi“ (p. Miłowska i p. Zaremba).

chetnym stylu i w bardzo polskim typie, p. Tatrzański, niedawno artysta teatru ludowego, wykazuje ciągle, że jest dla operetki doskonałym nabytkiem.

Ta właśnie wesoła i zgoła nie feralna „siódemka“ popisywała się w „Zuzi“. Z humorem i werwą zobrazowali oni i wyśpiewali dzieje pewnego młodego węgierskiego hrabicza, który mając z aktorką wodewilową, Zuzią, przejść tylko „kurs przygotowawczy“ do małżeństwa, wpadł na stałe pod kierownictwo i prawdopodobnie pantofelek swej tymczasowej nauczycielki. Ojciec zaś jego widzi się zmuszonym sam poślubić bogatą wdówkę, której w zamierzeniu swem przeznaczył w matrymonialnej ofierze żądnego uciech synaczka. Muzyczka w tej historyi była miła, ruchu dużo, śmiechu jeszcze więcej — słowem trupa lwowska dała w niej przez kilka wieczorów niejako koncert pożegnalny gry.

Niestety bowiem już tylko parę dni teatr krakowski gościć będzie w swych murach sympatycznych śpiewaków lwowskich, którzy co roku umilają Krakowianom kanikularne nudy. Z prawdziwem też zmartwieniem przyjęli wszyscy wiadomość, że primadonna operetki, p. Miłowska, w ostatnich już dniach swego tu pobytu zapadła na zdrowiu. Mamy nadzieję, że szczere życzenia Krakowian najrychlejszego wyzdrowienia pomogą jej przynajmniej tyleż, co medykamenta. Zastąpiła ją urocza p. Markowska, która również zapisała się w pamięci Krakowian, jako bardzo miłe na scenie zjawisko. Słowem, trupa lwowska odjeżdża z Krakowa, bardzo miłe pozostawiając wspomnienia. Spodziewamy się i chcemy, aby takie same wyniosła.



Kursy zawodowe: Uczestnicy i kierownicy kursu kroju mundurów wojsk polskich w Krakowie.

Zgon lekarza filantropa.

W dniu 4 sierpnia b. r. zmarł w Tartarowie, gdzie bawił celem poratowania zdrowia, dr. Józef Gostyński, dyrektor szpitala imienia Bilińskich i były radny miasta Lwowa.

Urodzony w r. 1848 w Lisiance na Ukrainie, po ukończeniu studyów lekarskich w Wiedniu, długie lata był asystentem i sekundaryuszem szpitala powszechnego we Lwowie na oddziale chirurgicznym. Na tem stanowisku potrafił sobie niezwykłemi zaletami charakteru i zawodowem wykształceniem zjednać ogólne uznanie, poważanie i wdzięczność pacyentów, z których bardzo wielu zawdzięcza mu życie i zdrowie.

Główną zasługą ś. p. Zmarłego było powołanie do życia tak humanitarnej instytucyi, jak Zakład dla nieuleczalnych chorych imienia Bilińskich. — Gdy Biliński zastanawiał się, jaką fundacyę stworzyć, Gostyński zdołał go nakłonić do swego dawno wymarzonego planu, którego sam z powodu trudności finansowej natury wykonać nie mógł.

W zakładzie tym pozostawał ś. p. Gostyński do ostatniej chwili życia w charakterze lekarza i dyrektora, nie mało się też przyczynił do jego rozwoju.

Ze świata muzycznego.

W Krakowie gości obecnie, budząc w kołach artystycznych wielkie uznanie dla swego talentu, wybitny tenor polsko-amerykański p. Stewa (inżynier Stefan Idźkowski). Zawód swój inżynierski porzucił przed sześciu laty, poświęcając się odtąd sztuce śpiewaczej i dramatycznej, do której już w dzieciństwie zdradzał wielki zapał.

Już podczas swych studyów na politechnice ryskiej prowadził pan Idźkowski chór akademicki, cieszący się stałą sympatyą słuchaczy. Publiczności warszawskiej dał się p. Idźkowski po raz pierwszy poznać, występując z powodzeniem jako amator w oratoryum Haydna „Cztery pory roku“ w Filharmonii, w roli wieśniaka, zaproszony przez znakomitego ówczesnego kapelmistrza Filharmonii ś. p. Zygmunta Noskowskiego. Osiadłszy na stałe w Paryżu, poświęcił się tam gruntownym studyom artystycznym, poczem zaangażowany do wielkiej opery w Bostonie w charakterze pierwszego tenora, debiutował tam z wielkiem powodzeniem w operze „Lakmé“.



Ze świata muzycznego: Tenor polsko-amerykański Stewa (inżynier Stefan Idźkowski).

Po szeregu gościnnych występów w Ameryce (Boston, Pittsburg, Cincinnati, St. Louis, Chicago), gdzie występował pan Idźkowski pod pseudonimem Stewa, którego stale już używa, powrócił do Paryża dla uzupełnienia studyów pod kierunkiem Jana Reszkego, a cały szereg występów w stolicy świata zjednał mu wybredną publiczność paryską.

W marcu b. r. powrócił Stewa do kraju i dał się poznać we Lwowie w „Fauście“, „Lucyi z Lamermoru“ i „Tosce“, zyskując sympatyę publiczności. Nie mniej życzliwego przyjęcia, zadokumentowanego przez całą prasę krakowską, doznał niedawno p. Stewa w „Tosce“ na scenie krakowskiej.

Kursy zawodowe.

Uświadomienie sfer rzemieślniczych i rękodzielniczych postępuje szybko naprzód, dzięki temu, że



Kolarze przed startem. **Wyścigi o mistrzostwo Galicyi:** Motorzyści przed startem. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

zmodernizowane stosowanie ustawy przemysłowej rozbudziło w całym kraju dążność do samokształcenia. Dotychczasową wadą, stającą w poprzed postępowi w tej dziedzinie naszego przemysłu, było to, iż poza szkołami zawodowemi starsi czeladnicy, a często i majstrowie nie uzupełniali już potem swych wiadomości. W ten sposób rozwój rękodzieł szedł bardzo powoli, a wszelkie nowoczesne zdobycze teoretyczne i praktyczne dopiero siłą prawie musiały sobie wywalczać prawo obywatelstwa i uznanie. Przez to rękodzieła były niezdolne przez długi czas do wytrzymywania konkurencyi z przemysłem fabrycznym, tak iż zaczęto już otwarcie mówić o tem, że rękodzielnictwo nasze skazane jest na zagładę.

Ostatnie czasy pod tym względem przyniosły znaczną, a bardzo korzystną zmianę. Dzięki inicyatywie rozumnych ludzi, rozpoczęły pracę po kraju kursy zawodowe. Nie ma dziś prawie miasta w Galicyi, gdzieby takie kursy co pewien czas się nie odbywały. Obejmują one najróżnorodniejsze dziedziny a przeznaczeniem ich jest uzupełniać wiedzę fachową majstrów i czeladników, oraz dawać im możność specyalizowania się w swym fachu.

Doskonałą illustracyą tej właśnie działalności kursów zawodowych jest sześciotygodniowy kurs kroju mundurów wojsk polskich, jaki przed kilku dniami rozpoczął się w Krakowie i trwać będzie do końca sierpnia b. r. Kurs ten odbywa się staraniem dyrektora instytutu technologicznego p. Tilla, a zadaniem jego jest zapoznać krawców naszych z sposobem kroju dawnych mundurów. Na kursie wykładało dwóch krawców specyalistów pp. Antoni Mottl i Noskowitz. Za wzory wzięto rysunki znanego artysty malarza Gembarzewskiego.



Wyścigi o mistrzostwo Galicyi: P. Wojas, zdobywca pierwszej nagrody.

Wyścigi o mistrzostwo Galicyi.

Dzięki staraniom lwowskiego Klubu kolarzy odbył się przed kilku dniami we Lwowie wyścig o mistrzostwo Galicyi. W wyścigu tym uczestniczyło kilka wybitnych towarzystw sportowych, nie brał jednak udziału oficyalnie Kraków ze względów formalnych. Bieg mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych odbył się na przestrzeni 150 klm miedzy Lwowem a Radymnem. Droga prowadziła od 4-go kilometra na drodze Janowskiej przez Jaworów i Krakowiec.

Współzawodników do biegu kolarskiego stanęło ośmiu. Wyruszyli oni o godz. 6 rano. Pierwszy przybył do mety p. Wojas, przebywając całą drogę w 7 godzinach i 6 minutach.

Do półmetka (75 kilometrów) przybył p. Wojas w 2 godz. 26 minut, z powrotem jednak utrudniał jazdę silny wiatr, skutkiem czego na przebycie drugiej połowy drogi zwycięzca p. Wojas spotrzebował przeszło 4 godziny.

W drugim biegu motorzystów startowało 4-ech współzawodników. Tytuł mistrza zdobył p. Michaliszyn, przebywszy całą drogę w 3 godzinach 6 minutach i 20 sekundach.

Illustracye nasze przedstawiają szereg momentów z biegów.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 31.

Szarada: Budowa kanałów.

Przysłowiówka: Oko za oko, ząb za ząb. Dobry żart, tynfa wart.

Równanie:

Sobota + **Walery** + **wiosła** + **wino** + **kareta** = Bolesławita.

Para + **karabela** + **czerwiec** + **woda** + Helena = Para czerwona.

Zadanie do przestawienia: Biada zwyciężonym.

Bilety wizytowe: Gorzelnik, magnetyzer, podoficer, buchalterka.

Łamigłówka:

N	a	t	a	n
L	e	p	e	l
P	o	t	o	p
S	e	n	e	s
K	a	j	a	k

Zadanie do przestawienia: Jak cię widzą, tak cię piszą.

Zadanie do przestawienia: Nauka w las nie idzie.

Rebus: Uczeni ludzie często wielkiemi bywają oryginałami.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Serbeńska Budzanów, J. Jakubowska Kraków, D. Sedyńska Zakopane, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S Kowalówka Kraków, K. Kaim Warszawa, W. Ostrowski Warszawa, J. Wilczkiewicz Sambor, K. Fuchs Czeremchów, J Kopczyńska Bierzanów, S. Bukowski Równo, J. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, A. Biliński Tarnopol, M. Więckowska Łódź, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, I. Brzostowski Krosno, M. Lisowska Sambor, J. Łopatkiewicz Sambor, M. Wojkowski Tarnopol, M. Domagalska Kraków, W Raczyńska Sanok, H. Figiel Sanok, M. Kobyłecka Stanisławów, M Kozicka Lwów, J. Bałuk Kraków, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K. Zegartowska Bogucice R. Linderski Siemiechów, D. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawwnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, J. Wilkosz Rzeszów, S. Sygnarska Tarnów, F. Frankowicz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze. J. Broda Tarnów, M. Antosz Sanok, K. Gliński Kołomyja, S. Balicki Lwów, C. Wang Rzeszów, J. Lipowski Lwów, M. Wańkowicz Mińsk, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, H. Łapińska Kraków, J. Waligórski Lwów, R Sadowski Kraków, K. Szumańska Rawa Ruska, M Arbesbauer Lwów, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Rzeszów, W. Rachwalski Bochnia, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, F. Horak Oświęcim, M. Wędrychowska Sanok. E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S. Kamocki Jasło, H. Ungar Lwów, J. Nowacki Śniatyn, J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło. K. Reichenberg Cieszyn, D. Gross Sanok, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blatterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, H. Maciejowska Winnica, L. Kwaśniewski Piotrków, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło, J. Wolny Warszawa, S. Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, S. Rogalski Tarnów, L. Lindenbaum Czerniowce, K. Radoszewski Tarnobrzeg, H. Radziński Jasło

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **F. Frankowicz Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Numer sierpniowy **„Głosu obrońców"**, wychodzącego pod redakcyą dra Zygmunta Mandla, zawiera szereg ciekawych rozpraw i artykułów, między innymi dr Z. Gargasa: W sprawie odszkodowania za stratę czasu sędziów przysięgłych. Ankieta Izby Adwokatów w Krakowie. Pierwszy ogólny zjazd adwokatów polskich. Sądy rozjemcze w Krakowie. Statystyka adwokatów w Galicyi i t. d. Pismo to, jako organ „Związku obrońców", stowarzyszenia adwokatów i kandydatów adwokackich w Krakowie, rozwija się pod dzielną redakcyą i porusza w interesujący sposób nie tylko sprawy zawodowe lecz także kwestye aktualne społecznego znaczenia.



Ze świata kobiecego.

Przed nowym sezonem.

Pierwsze zapowiedzi jesieni już zaczynają się ukazywać. Ciągłe zimna zepsuły nam zupełnie lato i kto wie, czy zima nie rozpocznie się znacznie wcześniej, niż przypuszczamy. Ptaki wędrowne bardzo wcześnie w tym roku zabierają się do odlotu na południe, podczas gdy u nas rozpoczyna się odwrotna wędrówka, bo z południa w pielesze domowe. Po wesołych dniach morskich kąpieli, letnich wycieczek i t. d. powracamy znowu do codziennej szarzyzny. Pierwszą sprawą, która najpierw w domu wymaga uregulowania, jest wyekwipowanie dzieci do szkoły.

Moda dla panienek zapowiada na nowy sezon sukienki skromne, o spodniczkach przeważnie z fałdów układanych, jako bardzo praktycznych. Również zamiast dotychczas noszonych tornistrów modne będą w tym roku, podobne do turystycznych plecaków, worki z płótna. Są one o wiele praktyczniejsze, gdyż zajmują mało miejsca, dadzą się dobrze złożyć i jako nieprzemakalne tę samą albo i lepszą korzyść dają jak tornistry. Po wyekwipowaniu młodzieży szkolnej, zaczynamy myśleć o sobie. Jesienny sezon zapowiada szereg oryginalnych nowości.

Na pierwszy plan wybijają się jednak futra. Wracają one w całej pełni swych praw, a tem oryginalniejsze, że moda dopuszcza wielką ich różnobarwność. Dotychczas noszono futra zazwyczaj w skromnych kolorach naturalnych skór zwierzęcych, upatrując jedynie w połysku naturalnym włosu lub w jego naturalnem zabarwieniu i deseniach całą piękność futra. Obecnie moda zmieniła zupełnie swe zdanie. Wszystkie kolory tęczy mają zamienić futra w różnobarwne jakieś nowoczesne ozdoby, które zdumiewać będą swoimi nieprawdopodobnymi tonami.

W Paryżu już pojawiły się pierwsze zapowiedzi tej nowej mody. Na ostatnich wiścigach zjawiły się okazy nowych sukien, przybrane lisami w kolorach *orange*, różowym, czerwonym i purpurowym. Obecnie zaś pojawiły się nawet zielone futra, z których robione są zwłaszcza płaszcze wieczorowe i ozdabiane spacerowe suknie.

Dla fantastycznych pomysłów nowej mody najbardziej nadaje się futro kreta. Widziałam płaszcz wieczorowy z zielonego futra kreta, do którego, jako całość, użyto także boa z białego lisa, którego skóra wyprawiona była z głową i nóżkami. Drugi płaszcz zrobiony był z czerwonych skórek kreta i obramiony wokoło pasem skunksów, szerokim na dłoń. Pas ten biegł równo do około, nie rozszerzając się nawet naokoło szyi.

Ma się rozumieć cena skórek krecich odrazu, ze względu na ich zapotrzebowanie, podskoczyła o 25% i prawdopodobnie pójdzie jeszcze w górę.

Nowe boa są bardzo szerokie, a z tyłu przechodzą nawet w rodzaj malej mantyli, ponieważ wycięte i dosyć lekkie suknie sezonu wymagają z tyłu



Kostyum jesienny z białego sukienka.

większej ochrony. Wszystkie boa sobolowe od spodu są podbijane gronostajami, tak, aby na wieczór można je nosić odwrócone. Wogóle gronostaje stały się najbardziej poszukiwanem futrem sezonu, a cena ich już i tak dosyć wysoka, podniosła się jeszcze o 50 procent.

Kwestya zarękawków jeszcze nie została rozstrzygnięta. Prawdopodobnie jednak będą one wielkie, gdyż modny mały mufeczek, który już teraz zaczyna wchodzić w modę, jest tak mikroskopijny, że tylko jedną rękę, i to z biedą, weń schować można. A mrozy nie żartują, wobec czego objętość zarękawków, zwłaszcza u nas, pozostanie w dawnej wielkości.

Zmieniła się także moda w dziedzinie toalet ślubnych. W miarę tego, jak ślub, jako ceremonia, zaczyna się stawać cichą uroczystością domową, zmniejszają się także wymagania, stawiane sukniom ślubnym. Dzisiaj coraz częściej ludzie dopiero pobrawszy się, zawiadamiają świat o tym dokonanym fakcie. To też moda, stosując się do zmienionej sytuacyi, przepisuje elegancki kostyum podróżny jasny, a kapelusz skromny, otoczony białym woalem.

Dla uroczystych ślubów zasłanianie twarzy welonem, także już nie jest modnem. Welon upina się w formie kapuzki, w którą wplata się półkolisto mirtowy wianek. Z przodu tylko małe upięcie ocienia twarzyczkę, zaś cały welon spada ku tyłowi głowy. Suknie nie są już zapinane aż pod brodę. Owszem mogą mieć wycięcie, zwłaszcza takie, aby odsłaniało lekko szyję i początek ramion. Fryzura pod welon jest modna w stylu greckim, z dużym węzłem z tyłu.

W uzupełnieniu całości zauważam, że również wyszły z mody przyjęcia weselne, ciągnące się godzinami. Goście weselni schodzą się na krótką chwilę, przyjmuje się ich winem i ciastami i cała sprawa załatwiona.

Na zakończenie dodam jeszcze kilka uwag z dziedziny tajemnic toaletowych. Chodzi mi mianowicie o sport, dzisiaj dosyć modny. mianowicie farbowanie koloru włosów. Panie nasze lubują się w tych utlenionych blondynkach, czarnych lub szatynkach, które rodzą się nieraz z dnia na dzień. Ile niebezpieczeństw kryją w sobie te eksperymenty, nawet nie przeczuwamy, aż po niewczasie. Pierwszem jest to, iż często wskutek farbowania włosy stają się kruche i łamią się. Dziwimy się, że włosy tak wypadają, po użyciu jakiejś specyalnej tynktury; dzieje się to często dlatego, że włos nagle zostanie lub dalece pozbawiony tłuszczu, iż łamie się, jak szkło. W ostatnich tygodniach do szpitala w Frankfurcie zgłosiła się młoda kobieta zupełnie łysa. Okazało się, iż farbowała sobie włosy wodą, zwaną *mixture Venetienne*, którą sprowadzała z Paryża. Po dwóch miesiącach straciła wszystkie włosy. Nie wypadły, ale połamały się. Po zbadaniu chemicznem stwierdzono, iż w miksturze tej był pyrogallol i amoniak w takiej ilości, że włosy nie mogły go na dłuższy czas znieść.

Ostrożnie więc moje panie z nowymi środkami upiększającymi, gdyż lepiej zawsze mieć mniej ładne swoje włosy, niż pozbyć się ich całkiem, a nosić potem wszystkie cudze. *W.*



Letnie kapelusze z tiulu, przybrane fantazyami z piór.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

8

Kerlack szybko wykonał polecenie Angielki i pożegnał się z nią mówiąc, że jeszcze tego samego dnia puszcza się w dalszą podróż.

Gdy znalazł się sam, odetchnął z ulgą. Gdyby go tak ktoś z dawnych znajomych zobaczył, urządzającego lekarską konsultacyę na ulicy! Jan Kerlack przysiągł sobie dnia tego, że już więcej nie ulegnie pragnieniu zwiedzania miasta, gdzie się w każdej chwili natknąć można na legiony nieznośnych cudzoziemców, którzyby w Janie Le Kerlack poznać mogli niejakiego Piotra Sebonnier, sekretarza „Oriental Chinese Company!

Ewangelina.

Z pomiędzy całej rodziny Goldenspeeck'ów, znanej z dziwactwa i szorstkiego usposobienia, miss Ewangelina wyróżniła się jeszcze od kolebki nieokiełznanym temperamentem, despotyzmem i niewytłómaczonymi napadami furyi. Życie mis Ewangeliny było dosyć skomplikowane. Straciła rodziców w wczesnej młodości i całą spuścizną magnackiej niegdyś fortuny był młodszy jej brat John Harry i wielka ilość długów! Ale nad dziećmi angielskiemi, pochodzącemi z arystokratycznej rodziny, istnieje opieka. Najstarszy członek rodziny, nie tak z prawa, lecz z tradycyi, zmuszony jest im dać odpowiednie stanowisko i wykształcenie.

Tym najstarszym członkiem był książę de Cateley. Jak tylko doszła go wiadomość o nieszczęściach młodych Goldenspeecków, nie namyślał się ani chwili i dzieci sprowadził do siebie, do zamku Cateley. Zadanie, jakiego się podjął, nie było łatwe. Dzieci były krnąbrne i trudne do prowadzenia. Po wielu nieudatnych próbach, książę Cateley postanowił rozłączyć tę sympatyczną parkę. John-Harry został wysłany do osławionego w Anglii zakładu z rygoru i surowości, a miss Ewangelina została powierzona opiece guwernantki, z którą zamieszkała w oddalonej części zamku, odosobniona od krewnych i znajomych. Gdy dobiegła do lat 13 i uznano, że charakter jej złagodniał trochę, książę Cateley przywrócił jej łaski i prawa i stanowisko należące się jej z urodzenia.

Tymczasem John-Harry zdołał umknąć z zakładu i przez kilka tygodni przebiegł, jak ostatni włóczęga całą Anglię. Tego było już za wiele. Książę kazał go siłą pochwycić i postanowił umieścić w zakładzie poprawczym. Straszna scena wybuchła pomiędzy stryjem a bratankiem. John-Harry z pięściami doskakiwał do starego księcia, wrzeszcząc, że nie pozwoli się zamknąć w zakładzie i traktować na równi z dziećmi, znalezionymi na ulicy i że skoro ojciec jego był uczniem sławnego instytutu w Eton, to i on tam chce być, a obowiązuje się być przykładnym, aż do chwili, w której będzie mógł sobie obrać zawód: wojsko, albo marynarkę.

Książę Cateley skapitulował i notaryuszowi swojemu wręczył potrzebną sumę na wykształcenie John-Harry'ego, według jego życzenia.

W jakiś czas później chłopiec pisał do siostry, że pracuje jak wół, żeby jaknajprędzej zwrócić stryjowi „podłe pieniądze", wyłożone na jego wykształcenie.

Mając niespełna lat 18 John-Harry opuścił Anglię, nie chcąc widzieć ani siostry, ani stryja, ale w dniu, w którym wyruszał do Afryki, odesłał staremu opiekunowi połowę długu.

Od tego czasu wieści o nim były skąpe.

Wiedziano, że w Afryce odnalazł i podbił szczep Murzynów, z którymi niegdyś walczył jego ojciec. Uczynił to w imieniu pewnego Towarzystwa wolnomyślnego, angielskiego, a skoro wyprawa się udała, Anglia skwapliwie przyjęła wygraną.

Gdy powrócił do Londynu, mając lat 21, witany był entuzyastycznie, jak bohater, a Klub geograficzny, do którego należał, wyprawił na jego cześć wspaniały bankiet.

Zamiast oczekiwanych odwiedzin książę Cateley i miss Ewangelina otrzymali listy pieniężne. Stryj połowę drugą długu, miss Ewangelina czek na sto funtów.

Stryj otrzymaną sumę oddał w ręce pastora do rozdania ubogim, żądając pokwitowania, które natychmiast odesłał bratankowi.

Miss Ewangelinę wzruszyła bardzo, lecz i zarazem dotknęła przesyłka brata. Uważał ją więc ciągle jeszcze jako nieprzyjaciółkę i sojuszniczkę stryja-tyrana, skoro się nie zdobył nawet na jedno słówko czułości. Napisała olbrzymi list, pełny uwag moralnych, nakłaniając zbiega do zgody, lecz przyznając mu wkońcu, że i ona cierpiała bardzo z powodu despotyzmu starego stryja, który tylko przez dumę rodową i próżność wywiązywał się z opieki, podjętej nad nimi.

List ten jednak wysłany nie został, albowiem w ostatniej chwili dobiegły skromnych uszu miss Ewangeliny straszne wieści o bracie. Podczas krótkiego swojego pobytu w Londynie Harry popełnił stek niemoralnych wykroczeń, do których nie stanęła na przeszkodzie nawet zastraszająca jego brzydota fizyczna. Miss Ewangelina wobec tego uznała brata na wieki potępionym i godnym jedynie ognia piekielnego. List niezapieczętowany powędrował do szuflady biurka, gdzie się z jego treścią zupełnie mimowoli zapoznał książę Cateley.

Ostra krytyka miss Ewangeliny, tycząca się jego postępowania, ubodła starego opiekuna.

Zirytowany wpadł do pokoju siostrzenicy.

— Więc to taką opinię wyrobiłaś sobie o mnie, moja panno! — zawołał — o mojej łaskawości śmiesz pisać w ten sposób! Dlaczego więc pozostajesz pod tym dachem, skoro gościnność moja jest ci tak niemiłą.

— Nie pozostanę już tu, mogę zapewnić — odparła miss Ewangelina dumnie.

Nie pomogły tłómaczenia, nawet prośby udobruchanego stryja, który nie mógł znieść myśli, aby kobieta z jego rodu mogła iść w świat pracować na swoje utrzymanie. Miss Ewangelina pozostała niewzruszoną i opuściła zamek Casteley. Przez wzgląd jednak na nazwisko stryja nie poszukała zajęcia w Anglii. Poświęciła się kształceniu dziewcząt we Francyi, Niemczech, Rosyi, nawet w Ameryce.

I wkońcu ambitne jej marzenia ziściły się. W domu księcia Kiwani uważana była nie tylko jako nauczycielka, ale przyjaciółka i ceniona powiernica.

Mała księżniczka.

Gdy miss Ewangelina powróciła z Paryża do Neuilly, zaniepokoił ją nienaturalny wygląd swojej małej uczenicy. Księżniczka zwykle blada, miała cerę ożywioną, a na białem jej czole widniały drobne krople potu.

— Boże wielki! — zawołała. — Ty masz znowu gorączkę, kochane dziecko! Oh! Oh! jak widzę, nie jesteś wcale rozsądną.

Od paru godzin, korzystając z nieobecności opiekunki i wbrew zakazowi lekarza i ojca, księżniczka Kita zajętą była gorliwie kopiowaniem przepysznej głowy Cranacha. Było to ulubione jej zajęcie w Paryżu. Cieszyła się już myślą, że nazajutrz profesor pochwali ją za widoczny postęp i uchwycenie podobieństwa modelu. Ta mała księżniczka bowiem, pochodząca z tak szlachetnej rasy, małe bożyszcze wchodniego pałacu, posiadała dla sztuki, a szczególniej dla malarstwa kult prawdziwy, równy może namiętności, którą żywił jej ojciec dla nauki i niepojętych tajemnic religii.

Skoro jej ojciec życzył sobie, aby wychowanie odebrała na wzór księżniczek europejskich, powinien jej pozwolić pracować, kształcić się i rozwijać umysł na równi z niemi. Ale księżniczce Kicie pozwolono tylko chwilami bawić się malarstwem, a nie wyczerpywać się w sposób zatrważający dla jej delikatnego zdrowia.

— Jeżeli mam gorączkę, droga miss Ewangelino — odparła księżniczka, uśmiechając się filuternie — to chyba z oczekiwania na ciebie.

Twarz miss Ewangeliny wyraziła wielkie niezadowolenie. Opóźnienie było z jej winy, albo raczej z winy tych nieznośnych fiakrów paryskich, którym pospiech jest nieznany.

— W jakim stanie zastałam cię, moja mała gołąbko — biadała Angielka.

— Eh! eh! — odparła żywo księżniczka, — nie jestem tak bezsilna, jak się wam wszystkim wydaje. Jestem tylko małą, delikatną istotą, której w niczem nie należy się sprzeciwiać, prawda miss Ewangelino. I jeżeli wszyscy kochać mnie będą, to będę mogła żyć jak kwiatek, dobrze pielęgnowany, i nie będę potrzebować zażywać tego obrzydliwego tranu, przepisanego przez tego staruszka w okularach. I nie trzeba mnie tak trzymać w zamknięciu, bo ja chcę wolności, chcę wychodzić sama.

— Sama? Księżniczko!

— Albo z panią! A jak będę zmęczona, to się wesprę na mojej miss, jak na lasce lub parasolu... i pójdziemy oglądać piękne rzeczy, muzea, te stare budowle asyryjskie, oryginalne zabytki prymitywnego malarstwa... Pani stamtąd powraca, nieprawdaż miss Ewangelino?

— Nie! — odparła miss Ewangelina, której twarz rozjaśniła się nagle.

Z olbrzymiej torby ręcznej, która mieściła w sobie tysiąc drobiazgów, miss Ewangelina wyciągnęła tuzin kart z widokami kościołów i Świętej kaplicy i z uśmiechem radości podsunęła je swojej uczenicy.

Z ust księżniczki wybiegł okrzyk podziwu.

— Oh! Święta kaplica! jaki cudny gotyk! Miss Ewo! musiał być zbudowany po powrocie z wojen krzyżowych w XIII wieku! W tej epoce — mówiła wolno księżniczka, jakgdyby czyniąc porównanie — w naszym kraju panował przodek mój, sławny Hassoun Zwycięzca. I on także, po powrocie z wyprawy tatarskiej wzniósł ten wielki pałac marmurowy, który znajduje się na górze, nad pałacem ojca mojego. I jak się przepysznie zachował dotąd, prawda?

O, miss Ewo, tak pragnę, aby książę pozwolił mi nareszcie zwiedzić Paryż! Niech pani uprosi ojca! Przecież to takie męczące nie będzie!

— Zapewne, księżniczko! Ale jeżeli praguiesz zwiedzić Świętą Kaplicę, to lękam się, czy widok otoczenia nie oddziała niepokojąco na ciebie. Kaplica znajduje się obok więzienia. Dziś nawet widziałem dwóch zbrodniarzy prowadzonych przez policyantów.

— I nic więcej nie widziałaś, miss Ewo — zapytała figlarnie Kita — Ej! poznaję po oczach, że to nie koniec!

— Oh! jakże ja głupia jestem! — zawołała nagle Angielka, przypominając sobie widocznie jakieś zdarzenie.

— Głupia! osoba tak wytworna nie może być głupią!

— Ależ głupia! głupia! — powtarzała z uporem miss Ewangelina — bo myślałam tylko o swojej newralgii, a nie o twojej chorobie, droga gołąbko! Zamiast pozwalać, aby cię nadal męczyli ci okropni doktorzy, należało zawezwać do ciebie mojego doktora, który raz już mnie wyleczył!...

— Jakiego doktora?! Miss Ewangelino, ty może bredzisz! Co ci się stało? Nie rozumiem cię.

— Ale ja dobrze rozumiem! Ten człowiek raz by na ciebie spojrzał i już wiedział, co ci dolega!

— Czy to Anglik?

— Nie!

— Francuz?

— Tak, Francuz!

— Miss Ewangelino, ty znasz doktora Francuza?

— On właściwie nie jest doktorem i nie jest, zdaje mi się. Francuzem, bo ciągle tylko podróżuje, zna różne języki i kraje. To człowiek nauki i wielkiego doświadczenia. A jaki przyjemny i bezinteresowny! Nawet pudełka cygar nie chciał przyjąć odemnie, choćbym mu z ochotą dziesięć dała, za to, że mnie uwolnił od mojej newralgii. I gdybym nie była głupia, byłabym prosiła go o adres.

— W jakim celu, miss Ewangelino?

— Żeby do niego napisać choćby i prosić o radę na twoją chorobę, księżniczko.

— Nie jestem wcale chora — zawołała księżniczka, wstając nagle i podchodząc do swoich stalug. A teraz, kiedy po rozmowie z tobą wypoczęłam, zabieram się do roboty.

Miss Ewelina nie śmiała już oponować, choćby z tego powodu, że lubiła sama malarstwo i w chwilach wielkiej melancholii oddawała mu się z pasyą.

Szła za miasto i upatrzywszy jakiś ładniejszy widok, pastwiła się nad farbami i płótnem w niemożliwy sposób. A nikt nie mógłby odgadnąć, co właściwie chciała wymalować. Przytem kochała sztukę na swój sposób i kult ten wszczepiła od lat najmłodszych w duszę księżniczki. W tym celu sprowadzała dla niej z Londynu całe paki pełne reprodukcyi z muzeów europejskich i stosy fotografii. Księżniczka zdradzała od początku wybitne upodobanie w malarstwie prymitywnem, mało może udolnem w formie, lecz tak wyrazistem i oryginalnem w kolorycie.

Jednakże większa część minatur i obrazów tego rodzaju, napełniających pałac księcia Kiwani, zostały przez czas uszkodzone i księżniczka Kita, która widziała przychodzące z Europy starożytne malowidła, tak umiejętnie zakonserwowane, kazała naprawić te arcydzieła sztuki indyjskiej. Lecz, niestety, zatracał się koloryt właściwy i wyjątkowy sposób malowania. Wyjeżdżając z Indyi, księżniczka zabrała więc ze sobą te malowidła, mając nadzieję, że we Włoszech lub Francyi znajdzie dość zdolnych artystów, by im powierzyć mogła niektóre ulubione i piękniejsze okazy.

I teraz właśnie myśl jej krążyła koło tego przedmiotu.

— Miss Ewo — rzekła, nie odrywając się od roboty — czy nie informowała się pani w mieście o potrzebnego mi artystę do miniatur.

— Ależ naturalnie! Właśnie chciałam ci gołąbko o nim mówić! Dostaniemy wkrótce jego adres, tylko przedtem Jego Wysokość twój ojciec zezwolić musi na wyjście twoje na miasto.

— Nie potrzebujemy tak długo czekać, skoro dowiemy się o jego adresie, wystarczy chyba posłać po niego.

— Kiedy to właśnie, moja księżniczko, niewiadomo jeszcze, gdzie się znajduje obecnie ten artysta. On bywa chwilami niepoczytalny, jak się to często ludziom wielkiego talentu zdarza. Mówiono mi o tem w sklepie, gdzie kupowałam tę fotografię. Znika wtedy i nikt o nim dowiedzieć się nie może. Zapewniano mnie jednak w sklepie, że się odnajdzie, a jak tylko zjawi się u nich, bo czyni tam podobno częste zakupna, prześlą nam jego adres.

Rozmowa została nagle przerwaną wejściem służącego, który przyniósł miss Ewangelinie listy i gazety, nadeszłe dla niej z poczty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył M. W. Wadowice.

Całość Słowianin powiecie,
Gdy literę zaś urwiecie,
Samo brzmienie trwogę budzi:
Kładzie trupem mnóstwo ludzi.

Znów litera oderwana,
A następna w środek dana,
Da kobiety imię znane,
Nawet w biblii wspominane.

Trójkąt magiczny.

Ułożył M. W. Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego bohatera.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Organ kontrolujący. 3. Badanie. 4. Imię żeńskie. 5. Następca tronu w Hiszpanii. 6. Ozdoba ściany. 7. Okres czasu. 8. Postać biblijna. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Przeplatanka.

Ułożył M. W. Wadowice.

Z podanych liter ułożyć trzy nazwiska krajów europejskich, równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym.

	a		a		a	
a	a	a	a	a	a	a
	c		c		c	
c	c	g	g	g	i	i
	l		l		l	
l	l	s	s	y	y	y
	y		z		z	

Bilety wizytowe.

Ułożył W. M. Wadowice.

Z liter na biletach ułożyć kraj i miejsce zamieszkania poszczególnych osób.

LEON RYTMAR

OLGA IDA STEBEN

MARYA GICYLOWNA

ADELA ANNA STRYBUDO

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bóg, Bug, buk. Kobieta kuka ja.

Przysłowiówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Jeleśnia.

Między podane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, aby powstały znane polskie przysłowia:

1) o o y ę o u ą.
2) ó y a ó e u.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie pryysłowie:

Ogier nigdy nie będzie drugi. Dama szakal, węże, Aza, zez.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *H. Filochowskiej:* **Czarne łabędzie.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.